Nr. 49. Poznań, Niedziela 2-go Grudnia 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1 **markę**; *na poczcie w Austro-Węgrzech 59* **cent.**
Pod opaską: *w Niemczech 1,65* **mr.**, *w Austro-Węgrzech 1* **złr.**, *za Oceanem 1* **dolar.**
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Młodości moja!...

Młodości moja, ty mi bądź aniołem,
Prowadź do celu choć drogą cierniową,
Bylem szedł zawsze z podniesioną głową,
Bylem nie żółwiem był, ale sokołem!,
Młodości moja, ty nad mojem czołem,
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,
Bylem narodu został ulubieńcem
Młodości moja, ty mi bądź aniołem!

Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem,
Wiąż mię z tym biednym, podeptanym ludem,
Niechaj się pozna, niech rozkwitnie cudem,
Kiedy go otchnę silnym swoim duchem.
Orlą źrenicą, zaostrzonym słuchem,
Niechaj się wgłębię w jego pierś zbolałą,
Z której się tyle łez i krwi wylało,
Młodości moja, ty mi bądź łańcuchem!

Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą,
Osłoń me piersi przed niemęską trwogą,
Niechaj jak magnes, siłami się wzmogą,
Kiedy je cierpień ciężary obarczą.
Chociaż pioruny nademną zawarczą,
Niechaj jak prorok przed bożym narodem,
Z sztandarem wiary, postępuję przodem,
Młodości moja, bądź mi zbrojną tarczą!

Młodości moja bądź mi zdrowem ziarnem,
Każda myśl moja niech się zazieleni
W sercach mych braci, niech się tam rozpleni,
Co ma być białem niech nie będzie czarnem.
Młodości moja, nie bądź mi snem marnym,
Wykuj marzenia me w żelazne czyny,
By z nich się późne żyć uczyły syny,
Młodości moja! bądź mi zdrowem ziarnem!

Kornel Ujejski.

Obłęd polityczny.

W Galicyi w ubiegłym tygodniu zaszedł wypadek, który niezwykle jaskrawe światło rzuca na nienormalną wybujałość ducha młodszego pokolenia w kierunku narodowo-politycznym.

Jest to objaw, nad którym głęboko zastanawiać się potrzeba, aby społeczeństwo uchronić nietylko w przyszłości od groźnych a niepożytecznych wstrząśnień, ale aby i w teraźniejszości zabezpieczyć je od nierozumnych zamachów, które tylko cień rzucają na całą młodzież, a w rezultacie nakładają tylko pęta jej normalnemu rozwojowi duchowemu.

Mamy tu na myśli zamach i sprzysiężenie na p. Götza-Okocimskiego.

Pisma miejscowe o zamachu tym podają wiadomości zasadniczo jednakowe, brzmienie których odpowiada mniej więcej następującemu opisowi:

„W sobotę przybyło o godz. 7 i pół rano od strony Tarnowa koleją czterech młodych ludzi do Słotwiny i najętą powózką około godziny 10 udali się do Okocima, wypytując woźnicę, jak wygląda p. Götz, właściciel browaru. Dwóch z nich udało się do biura p. Götza, a trzeci pozostał na dworze. Przybyli zażądali od p. Götza znaczniejszej sumy pieniężnej, grożąc mu w razie odmowy śmiercią. Zagrożony przywołał na pomoc inspektora browaru p. Tadeusza Narzymskiego, ten nadbiegłszy, pochwycił jednego z napastników, podczas gdy drugi strzelił w stronę oddalającego się p. Götza, a następnie dwa razy do pana Narzymskiego. Pierwszy strzał chybił, drugi zranił lekko Narzymskiego w okolicę skroni i w rękę, poczem napastnik rzucił rewolwer i wraz z drugim towarzyszem, czekającym na podwórzu, umknął.

„Przytrzymany Antoni Kędzior, lat 23 liczący, prowizoryczny nauczyciel w Nowotarszczyźnie, wysoki brunet, o sympatycznym wyrazie twarzy, miał przy sobie nabity rewolwer i sztylet. Zaraz po południu zjechała z Krakowa komisya śledcza. Pościg konny ludzi z browaru i żandarmeryi za dwoma drugimi zbrodniarzami nie odniósł skutku.“

„Nowa Reforma“ podaje następujące jeszcze szczegóły osobliwego swoim charakterem zamachu:

„Według relacyi, zasięgniętych w biurach odpowiednich władz, występek powyższy jest jakąś narodowo-rewolucyjną (?) organizacyą, starającą się dla celów „ogólno - patryotycznych“ o kapitały, choćby drogą rozboju.

„Podobno — (mówimy podobno, bo śledztwo jeszcze trwa) — przed paru dniami odbyło się w Tarnowie, w mieszkaniu ucznia seminaryum nauczycielskiego, niejakiego Siennickiego, górala rodem z Nowotarszczyzny, zawiązanie owej „organizacyi“ złożonej z 14 młodych ludzi, przyczem dokonano wyboru czterech spiskowych „żandarmów“, którzy mieli ściągać ów „podatek narodowy.“

„Nieszczęsna ta organizacya, która tylko w głowach szaleńców uroić się mogła, składała się przeważnie z uczniów gimnazyalnych, uczniów seminaryów nauczycielskich i kilku nauczycieli na stanowisku. Ów porucznik żandarmeryi narodowej Teofil Sikora, to chłopiec 18-letni, student VII klasy gimn., drugi z napastników, nauczyciel ludowy, Antoni Kędzior, ma lat niespełna 23. Drudzy dwaj, Czyżek i Styliński, także chłopcy zaledwie już zaaresztowani — są to ludzie młodzi, a dowodem tego ich dziecinny, choć w skutkach mogący być strasznym zamach.“

Stoimy otóż wobec faktu, który trudno rozmaicie sobie tłómaczyć: świadczy on, że wśród młodzieży nurtuje niebezpieczny ferment polityczny, prowadzący — jak w danym wypadku — do wybuchów, zagrażających nietylko życiu i mieniu jednostek, ale i całemu porządkowi społecznemu.

Przyjmujemy w osądzeniu tego zamachu za pewnik odrazu najgorszą ewentualność, to jest, że jego wykonawcy nie byli zwykłymi zbrodniarzami, lecz że w zaślepieniu działali w dobrej wierze, istotnie z motywów politycznych.

Mamy tu więc do czynienia z knowaniami i sprzysiężeniami politycznemi o tak silnem napięciu, że prowadzą one w skutkach swych do prawdziwego obłędu politycznego.

Obłędem politycznym pozostanie bowiem dla wszystkich czyn wykonany i zamierzony na p. Götza — ale społeczeństwo nie powinno poprzestać na skonstatowaniu, że to jest polityczny obłęd. Przejaw takiego obłędu wśród młodzieży jest faktem znamiennym, który nietrudno zrozumieć każdemu, kto wnika w życie młodzieży, a z drugiej strony obserwuje zachowanie się społeczeństwa wobec tej młodzieży. *Zamach na p. Götza jest, z ogólno społecznego punktu widzenia, przestrogą pod adresem naszego społeczeństwa, aby więcej zajmowało się swą młodzieżą i starało się w niej rozwijać zdrowy pogląd na nasze sprawy narodowe.*

Dotychczas trzymano się taktyki odsuwania młodzieży od wszystkiego, coby mogło w niej wzbudzić żywe poczucie narodowości: jest to metoda fałszywa, młodzież bowiem znajdzie zawsze drogi i sposoby dorwania się do źródeł politycznych idei, ale te źródła niezawsze bywają czyste, młodzież zaś — pozostawiona samej sobie — bezkrytycznie przyjmuje wszystko, i ze zwykłą sobie porywczością w czyn wciela. Czy nam ktoś może zaręczyć, że to co innego, jak np. lektura jakich podburzających pism anarchistycznych pobudziła sprawców zamachu na Götza do ich niesłychanego czynu?

Czy nie lepiej by było, aby starsze pokolenie bardziej niż dotychczas troszczyło się o dostarczanie młodzieży książek normalnie rozwijających jej umysł i serce, — jej porywy patryotyczne i porywy społeczne?

Zamach taki, jak na Götza, wydaje nam się w pierwszej chwili niepojętym, — pojmiemy go jednak, zważywszy, że tej młodzieży — jak to jest w użyciu — nikt nie dał do ręki historyi polskiej, nikt ze starszych nie rozmawiał z nią o bolesnych przejściach naszego narodu wśród stuletniej walki o niepodległość: i dlatego pierwsze lepsze mętne źródło, choćby jaki agent prowokacyjny, mógł opanować jej słabe umysły i pchnąć na zbrodniczą drogę.

Wśród wielkopolskiego społeczeństwa do takich wybuchów okrywanego tajemniczością ruchu na szczęście nie doszło i, da Bóg, nie dojdzie: ale z przykładu galicyjskiego powinno nasze społeczeństwo wysnuć poważną naukę, że *najlepszym środkiem przeciwdziałającym tworzeniu się szkodliwego fermentu wśród młodzieży jest kształcenie jej narodowego poczucia przez starszych i pod okiem starszych:* że tamowanie zaś normalnego jej duchowego rozwoju prowadzi do takich pożałowania godnych czynów, jak zamach na Götza.

Dr. K. Rakowski.



Pod adresem młodzieży akademickiej.

„*Silny na duchu, i skory do czynu*“, temi słowy skreślił przed więcej niż pięćdziesięciu laty, na emigracyi w Paryżu żyjący poeta nasz Konstanty Gaszyński charakter swojego narodu. „Silny na duchu, a skory do czynu“.

Ilekroć słowa te mi się przypomną, rozważam zawsze, ile też w nich jest rzeczywistej prawdy, a ile idealizowania własnego narodu, idealizowania tak bardzo zrozumiałego u poety tęskniącego na obczyźnie o setki mil za krajem. Czyśmy naprawdę tak bardzo „silni na duchu i skorzy do czynu?“ Daj Boże, żeby tak było, bo nam siły ducha i energii czynu potrzeba, ah, jak bardzo! Lecz coś, jakby przeczenie na dnie duszy mi się odzywa, coś co z cicha woła, że u nas przeciwnie słabość dusz i lenistwo czynu, brak odporu i hardości umysłów panoszy się coraz szerzej; karki do ziemi pochylamy coraz niżej. Lecz może to ja w tak przykrem, szarem świetle wszystko widzę, a może też to pół wieku, co minęło od chwili, że Gaszyński pisał w Paryżu swoje żale za krajem, tak boleśnie dało nam

się we znaki? Miały czas kajdany weźreć nam się głębiej w ciało i przygnębić dusze.... Bóg jeden, „który z wysokości patrzy, jak giną Ojczyzny obrońce“, wie, jak tam bilans dusz naszych i sił duchowych stoi...

Jakkolwiekbądź pewna wrodzona nam krewkość, żywy temperament przetrwał dotychczasowe burze i jest nam, jak dawniej, właściwy. Widzimy to przedewszystkiem w dążeniach naszej młodzieży, która już na ławie szkolnej, gdzie gwałtem pompują w nią niemczyznę, stara się przecież niedostatki w wykształceniu swem uzupełnić, ucząc się, gdzie i jak może, dziejów ojczystych i wczytując się w pomniki naszej literatury. Jest to właściwie jedyny sposób, w jaki młodzież nasza szkolna, strzeżona i szpiclowana na każdym kroku, służyć może sprawie ojczystej. Jedyny, ale też najbardziej właściwy, najbardziej korzystny i zbawienny. Nie potrzeba do tego żadnych związków, żadnych tajnych towarzystw, wystarczy dobra wola kilku chętnych, a cel może być w zupełności osiągnięty, cel ten, by ucząc się za młodu tego wszystkiego, co się działo i co się stało w Polsce, wzmocnić swoję polską duszę, pobudzić ją do pełnej świadomości na całe życie.

Ale młodzież pali się do czynu, do wydobycia na jaw tego wszystkiego, co myśli i czuje. Któż będzie dlatego rzucał na nią bezwzględne słowo potępienia? Chyba ten tylko, co sam nigdy młodym nie był, albo też już zapomniał tych lat młodych, kiedy pierś jego wyżej się wznosiła, a serce żwawiej biło na hasło: Hej! ramię do ramienia!

Lecz niech będzie jako chce, w dzisiejszych warunkach odradzamy i odradzać musimy młodzieży gimnazyalnej wszelkich związków i konspiracyi tajnych, chociaż i cele ich są najniewinniejsze, skierowane jedynie do wzajemnego pouczania się. W dzisiejszych warunkach niech się każdy uczy stać o własnych siłach; zresztą wymiana myśli, tyle przy kształceniu się potrzebna, jest możliwą bez związków i towarzystw, zabronioną ni strzeżoną nigdzie być nie może, choćby przy najbardziej wyrafinowanym systemie szpiclowania pruskiego.

Minie czas nauki gimnazyalnej, wydostanie się młodzieniec na wolność, wyjedzie na uniwersytet, toż ma jako wolny „civis academicus“ możność i swobodę służenia sprawie ojczystej i oddania jej choć w części sił swych na usługi. I otóż w tej to sprawie chciałem się dzisiaj choć kilku słowy odezwać do naszej młodzieży rozsianej po uniwersytetach i politechnikach niemieckich czy pruskich.

Jakże często się zdarza, że młodzi ludzie, którzy jako gimnazyaści byli najlepszymi w świecie chłopcami, przejęci świętemi na przyszłość zamiarami, skoro się wydostaną na wolność, zarzucają, przytłumiają w sobie lepszą cząstkę duszy i gubią ją w odmęcie hulatyki i rozpasania. Zdarzało mi się nieraz spotykać „paczki“ studentów, którzy wskutek dłuższego bezmyślnego hulaszczego sposobu życia, popadali w jakiś wstrętny stan zabagnienia umysłowego; nie zdolni byli myśli swej zająć poważnym przedmiotem, a w rozmowie wtenczas tylko się zapalali, kiedy mogli opowiadać o przebytych nocnych pijatykach i innych awanturach. Słuchając takich opowieści, chciało się do nich zawołać, trawestując Słowackiego:

„Czy wasze młode myśli naruszył paraliż, czyli też serca wasze tknięte paraliżem?“ Oczywiście, nie do tych „sparaliżowanych“ będę ja stósował poniższe słowa swoje, ale do tych wszystkich, którzy chcą czas studyi jaknajwięcej wyzyskać dla własnego rozwoju umysłowego, a przytem wspólnej sprawie naszej wedle sił i możności oddać pewne przysługi. Otóż od dawna już, od bardzo dawna wydano u nas hasło: „oświaty ludu“ i niejedno już na tem polu zdziałano. Lecz jakże wiele jeszcze pozostaje tutaj do zrobienia! Zdaniem mojem młodzież akademicka może i powinna duże oddać przysługi w tym właśnie kierunku. Praca nad oświatą ludu naszego na dwóch rozgrywa się polach: na obczyźnie wśród wychodźców i w kraju, w domu u siebie; i tu i tam akademicy powinni być czynni, choć w pewnej mierze.

Nie żądamy naturalnie od młodzieży uniwersyteckiej, by wyjeżdżała, dajmy na to, do Westfalii w celach pobudzenia, utwierdzenia ludu w jego uczuciach rodzimych; na to ani czas, ani też stosunki pieniężne większości z nich nie pozwalają; sądzimy jednakże, że studenci uniwersyteccy w Berlinie i Charlottenburgu, Wrocławiu i Lipsku, gdzie mamy liczne towarzystwa polskie, przeważnie robotnicze i rzemieślnicze, powinni na posiedzenia tychże towarzystw uczęszczać, porządek dzienny takich posiedzeń wykładem czy odczytem urozmaicić i starać się o zachowanie czucia między tymi rzemieślnikami a inteligencyą polską miejscową. Wiem to z własnego doświadczenia, że towarzystwom polskim na obczyźnie na takim współudziale, na zajęciu się niemi ze strony wykształceńszych bardzo zależy i że się często o nie dopominają. Któż snadniej może wymaganiom tym zadość uczynić, jeżeli nie właśnie akademik, który swobodnie czasem swym rozporządza, a któremu nikt zgoła zabronić nie może być gościem na takiem posiedzeniu i odczyt czy wykład wygłosić?

Otóż tu jest pole, na którem młody człowiek może swą „skorość do czynu“ zużyć w sposób bardzo szlachetny i korzystny. O ile wiem, niektórzy też już w tym kierunku działają; oby takich było coraz więcej!

Nie mniej ważnym jest umysłowy rozwój naszych towarzystw ludowych w kraju. Akademik każdy — z małemi wyjątkami, spędza corocznie najmniej trzy do czterech miesięcy w ojczystych stronach i zazwyczaj mu ten czas wakacyjny upływa na bezczynności. Otóż ten czas wakacyi trzeba w odnośnym wyzyskać kierunku. U nas w Księztwie, a pewno i w Prusach Zachodnich nie ma miasteczka, gdzieby nie istniało jakie ludowe towarzystwo polskie; dlaczegoż by na posiedzeniach tegoż towarzystwa nie miał wystąpić akademik z odpowiednim odczytem? Poruszano już tę kwestyą i wykazywano potrzebę takiej działalności wśród akademików tu i tam; podobno i uchwały odnośne zapadały już na posiedzeniach; nie wiem jednakże, czy istotnie w tym kierunku zdziałano już co wyraźnego, czy się na uchwałach i postanowieniach nie skończyło?

Nie żądamy naturalnie — dla łatwo zrozumiałych przyczyn — odpowiedzi odnośnych, chcielibyśmy tylko słowy swemi ludzi na słowa nasze czułych, zagrzać i zachęcić do czynu i myśl zdrową, która może poszła w zapomnienie, na nowo poruszyć.

Zwracamy uwagę na to, że żadna władza akademikowi nie może zabronić w rodzinnych swych stronach wygłosić jaki popularny naukowy wykład; więc jeżeli kto, to właśnie akademik, siedzący na wakacyach w domu, jest po prostu jak gdyby powołany do takiej działalności, do takiej służby publicznej.

Przed niedawnym czasem zdarzył się u nas wypadek, błahy na pozór, a jednak bardzo znamienny. Pod koniec wakacyi kilku akademików, bawiących na wakacyach, chciało urządzić w mieście powiatowem balik,

by na nim potańczyć sobie ze sąsiadkami i wywieźć w niemieckie kąty urocze wspomnienia oczu modrych, czy ciemnych, warkoczy bujnych, białych ramion itd. I cóż się dzieje? naraz ktoś przeczulony odsądza na zasadzie tego projektowanego baliku młodzież od uczuć patryotycznych, zarzuca jej niedojrzałość, a w dalszym ciągu spada na owych akademików cały grad zarzutów, że nosi takie, a nie inne kołnierzyki, kapelusze i tym podobne niedorzeczności.

A młodzież co? nic, siedzi cicho i ledwo ledwo, że się któryś odezwał z oświadczeniem, że „my młodzież odczuwamy głęboko wszystko to, co każde serce Polaka boli i gnębi.“ A gdyby tak w zamian tego gołosłownego oświadczenia młodzież mogła była odpowiedzieć: pomawiacie nas o obojętność dla spraw narodowych, bo chcemy sobie ze sąsiadkami potańczyć, a myśmy w czasie wakacyi wygłosili tu i tam tyle a tyle odczytów popularnych. Jakżeby wobec takich czynów były zmalały niedorzeczne zarzuty tych „oburzonych.“ Ufam, że słowa moje dobrze zrozumiane będą i że pobudzą do żywej działalności.

Nie każdy, bodaj czy który z nas będzie mógł przy schyłku życia wystawić sobie za Słowackim to świadectwo: „żem dla Ojczyzny sterał swoje lata młode;“ lecz niechże każdy zarobi sobie choć na to przekonanie, że cząstkę sił swych młodych oddał krajowi, narodowi swemu na usługi. Niejeden pyta: jakże ja mam służyć sprawie naszej? Nie wiele ten wart, któremu serce własne nie da na to wyraźnej odpowiedzi.

Poznańczyk.



Germanizacya naszej młodzieży.

Germanizacya naszej młodzieży — włączmy w to i młodzież kupiecką i rzemieślniczą — jest faktem, na który społeczeństwo powinnoby zwrócić usilną uwagę i wszystkie wytężyć siły dla sparaliżowania wpływów, zatruwających ducha polskiego u podstaw — w samem zaraniu.

Zważmy tylko, że ta młodzież z czasem ma dostarczyć społeczeństwu zastępów zdrowej, narodowo myślącej inteligencyi, lub tak nam potrzebnych warstw średnich, a zrozumiemy, jak wielkiem jest niebezpieczeństwo, zagrażające z tej strony przyszłości społeczeństwa.

Liczebnie najsilniejszą jest warstwa młodzieży, pracującej w handlu i w przemyśle; z tej to warstwy ma się tworzyć inteligentna klasa średnio-mieszczańska.

Również licznym jest zastęp młodzieży zatrudnionej w rzemiośle, należącej pochodzeniem i powołaniem do tejże mieszczańskiej klasy. Mniej licznym jest szereg młodzieży, uczęszczającej do szkół zawodowych specyalnych, oraz do gimnazyów; ta młodzież ma stanowić naszą przyszłą inteligencyę.

Spojrzyjmy, choć pobieżnie na warunki, wśród których żyje i pracuje ta młodzież. Wszystkie wyliczone powyżej warstwy przedstawiają właściwie dwa odłamy: jeden — młodzieży (przeważnie handlowej i przemysłowo-rzemieślniczej) będącej już przy zarobku, na swoim chlebie. Drugi — to odłam młodzieży pozostającej pod wpływem władz szkolnych (gimnazya, szkoły zawodowe, techniczne, handlowe i t. d.)

Pierwszy ten odłam — młodzieży, pracującej już na siebie, — pozostawiony jest przez społeczeństwo najzupełniej własnemu losowi. Jeśli wyjątkowo pryncypał Polak nie daje baczenia na kierunek myśli swych pomocników i nie stara się o to, aby kierunek ten był narodowym, — to już nikt o tę młodzież nie dba. A młodzież ta jednak niejednokrotnie sama czuje potrzebę narodowego wykształcenia, lecz brak jej wskazówek, co czynić i jak czynić — gdzie szukać pola do pracy narodowej, w czem upatrywać chluby.

Sokolstwo polskie, jednocząc do wspólnego grona tę młodzież, niespożyte na tem polu położyło zasługi, lecz towarzyska spójnia, którą wytwarza „Sokół“ — to daleko do tego narodowego wykształcenia, jakie celem być powinno tej młodzieży, a jakie przecież w zakresie działalności „Sokoła“ nie leży i leżeć nie powinno.

A więc widzimy błąkanie się po omacku, które prowadzi do zobojętnienia słabszych elementów i do poddania ich wpływom germanizacyi, czy to w formie przejęcia się specyalnie zawodowym dorobkiem niemieckiej kultury, czy też w ustawicznem czytaniu książek i gazet niemieckich. A w ruchliwych głowach, o wyższym temperamencie — ten brak drogowskazów, prowadzących do swojskich źródeł wiedzy i idei społecznych, wiedzie do socyalistów. Niektórzy, przejąwszy się materyalizmem, marzą tylko o dorobieniu się majątku i na sprawy narodowe i społeczne stają się obojętni.

Bodaj czy nie gorszy jeszcze stan rzeczy panuje wśród tego drugiego odłamu młodzieży, podległej urzędowo ostęplowanej oświacie pruskiej.

Jeśli ten pierwszy odłam, puszczony wprawdzie samopas, zdoła jednak czasami odnaleźć drogę do pożytecznej dla kraju i narodu działalności i dociera do źródeł narodowej wiedzy, to za to poddana pod wpływy pedagogów niemieckich młodzież jest przez społeczeństwo wydana zupełnie na łup germanizacyi i całkiem tkwi w tem niebezpieczeństwie.

A jednak, niestety, społeczeństwo nasze zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego niebezpieczeństwa. Owszem, rade spogląda, że tu i owdzie panuje życzliwy stosunek pomiędzy młodzieżą polską a jej — niemieckimi przewodnikami. Niebaczne! nie widzi, że ten spokój pozorny, te życzliwe stosunki — to objaw zamierającego ducha polskiego wśród młodzieży, a świadectwo świetnych zwycięztw germanizacyi.

Bo młodzież polska, jeśli polskie naprawdę serce w niej bije, nie może z filozoficznym spokojem i obojętną wyrozumiałością śpiewać „*Heil dir im Siegeskranz*“, ani bez rumieńców oburzenia na twarzy czytać książek, które jej wciskają germańscy pedagogowie, a z których każdej stronnicy wieje duch, zatruty jadem nienawiści prze-

ciw naszym najdroższym ideałom narodowym, przeciw przeszłości naszej, która dla młodzieży świętą być powinna.

Niedawno temu, gdyśmy wykryli, jakie szkody przynosi naszej młodzieży system germanizacyjny i gdyśmy na widok publiczny wyciągnęli tajemnice sal gimnazyalnych, które są prawdziwemi torturami ducha narodowego naszej młodzieży, spotkały nas za to w prasie bolesne zarzuty. Jedni nazwali to rozmyślnem szkodzeniem młodzieży i wywoływaniem większego jej ucisku, denuncyacyą własnej sprawy, a ten, co frymarczył na swym straganie dziennikarskim wszelkimi odcieniami barwy politycznej, nie zawahał się nam zrobić zarzutu, że ze szkodą młodzieży szukamy nowego tylko materyału do krzykactwa politycznego.

Oto do jakiego stopnia wżarła się ugoda w serce społeczeństwa: nie czuje ono, że „to niedrażnienie władzy szkolnej“ jest tylko przeniesieniem do lokalnych warunków znanej ugodowej maksymy „niedrażnienia rządu“, w imię której zatruwali nasi ugodowcy ducha ludu i kazali mu znosić wszystko bez protestu, aby „nie drażnić“.

Więc chociaż takie zarzuty przeciw nam podniesiono, my z przekonań ofiary nie zrobimy i wołać będziemy donośnym głosem na alarm: *Brońcie młodzież gimnazyalną od germanizacyi!*

Obelgi przyjmujemy z pokorą: będzie przecież raz kiedyś sprawiedliwa ocena naszej działalności.

A zatem hasło brzmieć powinno: *Brońcie młodzież polską przed germanizacyą!*

Mamy nadzieję, że wśród naszych czytelników znajdą się przecież tacy, którzy nad powyżej poruszoną przez nas sprawą zastanawiać się będą i we wskazanym przez nas kierunku ją popchną. Ci zaś, co nas rozumieją, przyznają, że sama różnorodność warstw naszej młodzieży nie pozwala nam wskazać jakichś jednolitych środków przeciw działaniu germanizacyi.

Obowiązkiem każdego jest w danych warunkach zadania tego się podjąć.

My tylko wskazujemy niebezpieczeństwo.

My widzimy, że nasze społeczeństwo samo, najbliżej stojące tych eksperymentów, wykonywanych na duszach młodzieży naszej, nie posiada dostatecznej świadomości ciężkiej krzywdy, jaką germanizacyjny system wyrządza, nie przewiduje w dziwnem zaślepieniu, jak fatalne skutki może on wywrzeć na całą przyszłość naszą.

Nasza młodzież, oddana na pastwę germanizatorów, przedstawia wcale niejednolity żywioł. Jeżeli podzielimy naszą młodzież na wiejską i miejską, to niedalekiem chyba będzie od prawdy twierdzenie, że młodzież wiejska przynosi ze sobą do szkoły większy zasób odporności narodowej, owego ukrytego patryotyzmu, który tkwi gdzieś pod powierzchnią dziecinnej świadomości, aby zbudzić się i wypełnić ją po brzegi w wieku młodzieńczym. Twierdzenie to, ma się rozumieć, należy przyjąć ze wszelkiemi zastrzeżeniami co do jednostek. — W przeciętnem mieście prowincyonalnem uczniowie miejscy rekrutują się przeważnie ze sfery mieszczaństwa albo inteligencyi miejskiej.

Co do mieszczaństwa, to starsze pokolenie w niem nie zawsze posiada po dziś dzień pożądaną odporność wobec wpływów germanizacyi — a cóż dopiero młodsze?

W domu przeciętnego dorabiającego się rzemieślnika, drobnego kupca lub przemysłowca syn-gimnazyasta chyba trafem jakim znajdzie kilka książek wyborowych autorów polskich.

A inteligencya miejska? Księgarze polscy w Poznańskiem mogliby ładną piosnkę zaśpiewać o zamiłowaniu tej inteligencyi do książek.

Książka po dziś dzień uważana jest za zbytek. Na kolacyę wydać można talara — ale książka, co trzy marki kosztuje? — to chyba trzeba specyalnej jakiej okazyi, imienin, Bożego Narodzenia lub jakiej radosnej okoliczności, która raz do roku się trafia, aby książkę za trzy marki kupić.

Zresztą ciągła styczność z Niemcami, a po części wpływy zobojętniałych dla sprawy sfer urzędniczych polskich przyczyniają się do trzymania ducha w inteligencyi miejskiej i u sfer mieszczańskich w stanie jakby odrętwienia. Z takiej atmosfery chłopiec wchodzi do gimnazyum. Bez zasobu wiadomości z dziejów ojczystych, bez pojęcia o geografii ojczystego kraju.

Zabierają się do niego pedagodzy niemieccy z wyrafinowaną sztuką. Chłopiec, wktórym przy normalnym rozwoju umysłu w dziesiątym roku życia zjawia się głód umysłowy i chęć czytania, polecony jest przez ogół społeczeństwa i przez starszych kolegów... względom opatrzności.

Czuwa jednak dobroczynna władza i nie czeka, aż społeczeństwo przypomni sobie obowiązek względem dziatwy własnej.

Stoją otworem gościnne podwoje biblioteki gimnazyalnej, nie brak zachęty i przymusu do czerpania z tego zdroju.

Już od klas niższych uczniowie mają korzystać z biblioteki. Skrupulatnie prowadzone katalogi pozwalają ściśle kontrolować, aby każdy z uczniów przełknął dostateczną ilość trucizny.

Dużoby nam powiedziały katalogi tych bibliotek o wpływach, pod jakimi wzrasta nasza młodzież. Zrozumielibyśmy jasno wiele zagadek, jakie przedstawia jej stan moralny i intelektualny, gdybyśmy warstwa po warstwie oddzielić mogli osad, jaki te wpływy pozostawiły. Książki te, z których składają się biblioteki gimnazyalne w Księztwie, podobierane są w ten sposób, aby harmonizowały z ogólnymi celami germanizacyjnymi, do których dążą wykłady.

Mianowicie wykłady historyi niemieckiej i powszechnej, lekcyi języka niemieckiego i literatury niemieckiej, są jakby przykrojone

w tym celu, aby wespół z lekturą gimnazyalną zabić w Polaku-uczniu ostatnie tlejące iskierki przywiązania do narodu polskiego; — aby go przekonać, że nie ma literatury piękniejszej nad niemiecką, poetów doskonalszych nad niemieckich; — starają się wpoić w niego pojęcie o niesłychanej, niezgłębionej potędze niemieckiej kultury, wystawić ją jako wykwit cywilizacyi europejskiej i zmusić go, aby przed nią w duchu korne bił pokłony i przejęty był jej wielkością.

A cóż mówić o fałszach tendencyjnych, rozsianych o Polsce i o Polakach po historyi Niemiec, Prus i historyi powszechnej!

Cała rola rządowych historyków polega na bagatelizowaniu naszej roli dziejowej, na odmawianiu wszelkich historycznych zasług narodowi polskiemu. — Ktoby zechciał sobie wyrobić zdanie o historyi polskiej jedynie na podstawie gimnazyalnych podręczników, ten doszedłby chyba do przekonania, że dawna Polska — to jakiś potwór dziejowy, który cudem jakimś przez lat tysiąc utrzymał się przy życiu. Świat chyba odetchnął spokojniej z chwilą, kiedy ten potwór z jego widowni zniknął. A jednocześnie — co to za wspaniała i wzniosła pieśń — ta historya Prus i Niemiec!

Na setki w niej liczyć bohaterów! Nie prowadziła przez cały ciąg swego istnienia ani jednej wojny zaborczej (o, ironio!), zawsze tylko dążyła do oparcia się o granice naturalne, albo do oswobodzenia uciemiężonych narodów. A jaka przyszłość wspaniała ją czeka! Maluczko, a świat cały lizać będzie stopy niemieckich zdobywców! Czego tam niema w tej historyi Niemiec! Ile dziwacznych nazwisk, jaki zasób nomenklatury genealogicznej wchłonąć musi nasz polski gimnazyasta, zanim dobrą notę dostanie. Na każdej stronnicy ubóstwianie tych ludzi, którzy z mieczem w jednej, a z pochodnią w drugiej ręce szli zagonami na nieszczęsne krainy słowiańskie i tępili je bez miłosierdzia.

A przytem jaki bizantynizm wobec panujących! Co drugi król lub cesarz — to już *„der grosse“*, *„der edle“*, *„der grossmütige“*, *„der siegreiche“* a tymczasem świat o nim mało wiedział, a jeśli się czego dowiedział, to chyba o zdradzie, jaką np. uprawiali elektorowie brandenburscy wobec zwierzchników — —

Nasycony tym pokarmem zmysł młodzieńczy albo niszczeje w zupełnem zgermanizowaniu, albo gwałtownie się otrząsa i wpada w krańcowe teorye. *Spytajcie, jaki procent uczniów kończących gimnazyum pod naciskiem systemu germanizacyjnego przechodzi potem w pierwszych latach uniwersyteckich w szeregi socyalistów! Statystyka to złowróżbna...*

Chcąc wszechstronnie ogarnąć i owładnąć duszami chłopięcemi i młodzieńczemi, system germanizacyjny nie zapomina o ważnem znaczeniu, jakie w rozwoju uczuć odgrywa muzyka i śpiew.

Jakże to gwałtem niemal starają się młodzież polską wciągnąć do chórów, aby tam śpiewała patryotyczne pieśni niemieckie, aby wśród dźwięków *„Deutschland, Deutschland über Alles“* uczyły się piersi młodzieńcze wydymać jakiemś poczuciem siły, właściwej młodzieży. Ileż to festynów, mów urzędowych, aktów uroczystych i tem podobnych szopek odbywa się ,tylko na to, aby młodzież polską ustawić przed biustem w szeregi, tysiącznymi głosy powtarzać i głosić jej o wielkości Niemiec, o ich dziejowej przyszłości...

Jakże to mała liczba młodzieży wtedy uczuwa jakieś inne, nieurzędowe, bo polskie bicie serca i w takich chwilach myśli o swej Ojczyźnie, o przeszłości i przyszłości swego narodu!

Nie zapominajmy o młodzieży! *Kto ma za sobą młodzież, do tego przyszłość należy!* Rodzice polscy, czuwajcie nad dorastającą młodzieżą, bo ona jest przyszłością naszego społeczeństwa,

Wszak tyle się mówi i pisze o polskiem wychowaniu dzieci w latach najmłodszych — o elementarzu i katechiźmie; mówi się też dużo o kształceniu potem dorosłego już pokolenia. Skąd ten przeskok? Dlaczegóż to młodzieży, która przestała być dzieckiem, a jeszcze do męzkiego wieku nie dorosła, nie dać w rękę historyi polskiej, lub polskiej literatury?

To pole po dziś dzień leży odłogiem, zapomniane, niedostrzeżone...

A więc do dzieła! Brońmy młodzież przed germanizacyą!

Vester.



Wychowanie młodego pokolenia na obczyźnie.

Kwestya wychowania dzieci na Polaków jest dla emigracyi naturalnie jedną z najżywotniejszych.

Wogóle można twierdzić, że dzieci emigrantów wyjątkowo tylko zachowują narodowość rodziców. Dane statystyczne, zebrane w szkołach berlińskich w zupełności to potwierdzają.

W r. 1880-ym dzieci mówiących po polsku było w szkołach

w Berlinie	942
w Lauenburgu	440
w Bütow	629
w Recklinghausen	523
w Bochum	425
w Gelsenkirchen	1564
w Essen	161.

Ogółem było dzieci polskich:

W Saksonii (prow. prus.) w r. 1885 183, w r. 1891 587.

W Westfalii w r. 1885 546, w r. 1891 2170, w r. 1896 6058.

W Nadreńskich prow. w r. 1885 69, w r. 1891 164, w r. 1896 756.

Przy ocenianiu szybkiego wzrostu cyfr tych nie można oddawać się miłemu złudzeniu, że powiększenie jest wynikiem zwiększającej się liczby dzieci polskich dorastających do lat szkolnych na obczyźnie.

Gdyby tak było, istotnie moglibyśmy wyrobić sobie dodatnie pojęcie o zachowaniu narodowości u naszego młodego pokolenia na emigracyi. Lecz zważyć trzeba, że powiększenie to jest wynikiem jedynie nadpływu nowych tysięcy wychodźców polskich, którzy przybywają na obczyznę z dziećmi, nie umiejącemi po niemiecku. Po latach kilku — o ile by nowi wychodźcy nie przybywali — liczba dzieci mówiących po polsku gwałtownie by się zmniejszała.

Trudno się więc oprzeć wrażeniu, że powyższe cyfry są wymownem świadec-

twem nieuchronnego niemczenia się dzieci polskich na obczyźnie; zwłaszcza gdy zważymy, że w owym okręgu Recklinghausen parę lat później było 28 tysięcy wychodźców polskich (523 dzieci polsk. w szkole) w Bochum $16^3/_4$ (425!) w Gelsenkirchen 30 (1564 dzieci).

W roku 1892, a więc w czasach, gdy berlińska kolonia polska już posiadała wcale poważną organizacyę w towarzystwach na rzecz szerzenia oświaty polskiej między dziećmi zebrała komisya szkolna przez cały rok od 26 towarzystw polskich — zaledwie 550 m. 70 fen.*) Całkowity budżet wynosił 1500 mrk. — Wobec tego szkółka naturalnie zaledwo kilkunastu dziećmi opiekować się mogła.

Oprócz powyższej sumy, wpłynęło nie od towarzystw 850 m. 93 fen., z czego jednak 498 zebrał osobiście prezes komisyi dr. Łyskowski przeważnie u inteligencyi. A więc na kilkadziesiąt tysięcy Polaków zamieszkałych w Berlinie, a nie należących do towarzystw przypada suma 342 mrk. 93 fen. — Cyfra ta wybornie ilustruje obojętność i bezwładność emigracyi w sprawie wychowania dzieci.

Berlin, jako jedna z największych i najruchliwszych kolonii polskich na Zachodzie, daje możność zebrania najbardziej miarodajnych spostrzeżeń w tej tak ważnej kwestyi dla wychodźtwa.

Dlatego też — mając na myśli całe wychodźtwo — przytoczyliśmy powyżej typowy przykład z życia kolonii polskiej w Berlinie. I dalsze przykłady niemniej są charakterystyczne.

A więc co do książki polskiej i jej roli w zwalczaniu germanizacyi dzieci wiele mówi fakt, iż Towarzystwo Naukowe Polaków w Berlinie, które podjęło myśl wypożyczania książek dla dzieci (za darmo) wypożycza zaledwie 7—10 dzieciom. Więcej się nie zgłasza.

Wychowanie dzieci na obczyźnie rozbija się o przeszkody dwojakiego rodzaju.

Pierwszą trudnością jest potrzeba unicestwienia *wynaradawiającego* wpływu, jaki wywiera obce językiem i pochodzeniem otoczenie na młode i niedoświadczone umysły dziecięce.

Drugą trudność stanowi konieczność walki z *demoralizującym* wpływem wyziewów bruku wielkomiejskiego.

Jak jedno, tak i drugie zadanie — są to pewnego rodzaju *imponderabilia* wobec sił berlińskiej kolonii polskiej.

Większość dzieci germanizuje się szybko wskutek tego, że rodzice zajęci cały dzień pracą zawodową nie mają możności dozoru nad niemi, często zaś widują je dopiero późnym wieczorem, gdy nie są sami zdolni zebrać myśli wobec fizycznego zmęczenia.

Jak tu w takich warunkach myśleć o tem, aby dziecko utrzymać w duchowym związku z krajem ojczystym — dalekim a nieznanym, którego ono nawet nigdy nie widziało, a o którym nie słyszy w szkole nic dobrego, nic zachęcającego do obznajomienia się z historyą.

Lecz dajmy nawet na to, że znajdzie się jaka osoba, która chce się poświęcić i zająć krzewieniem języka i historyi u dzieci polskich na obczyźnie, przypuśćmy nawet, że jest ktoś, co zastąpi rodziców i na swe barki weźmie ciężar duchowej opieki nad dziećmi, będzie je uczył czytać i pisać po polsku, będzie się starał przeciwdziałać ich germanizacyi.

Nie usunie to trudności, przeniesie je bowiem na inne pole, na pole walki o chleb.

Dziecko, które mniej od innych wżyło się w życie obcego narodu, a więcej oddycha życiem swego społeczeństwa, trudniej osięga jakiekolwiek rezultaty w naukach, a później więcej napotyka przeszkód w osiągnięciu materyalnego dobrobytu.

„Dziecko — jeśli ma odebrać czysto polskie wychowanie — stawia na kartę swe powodzenie w naukach w szkole niemieckiej, opuszcza zakłady naukowe z niedostatecznem świadectwem i utrudnia sobie z czasem walkę o byt w rzemiośle czy handlu — o ile zostaje na obczyźnie.“ — Tak brzmi zazwyczaj, niepozbawione zresztą smutnej logiki życiowej, rozumowanie niektórych rodziców polskich. Spotykamy też często wychodźców, którzy z pełną świadomością i rozmysłem nie stawiają żadnych przeszkód germanizacyi swych dzieci, owszem — upatrują w tej germanizacyi jeden z czynników, którym w przyszłości dzieci ich zawdzięczać będą zapewniony byt materyalny.

Autor niniejszego szkicu miał swego czasu w ręku następujący autentyczny list pewnej zamieszkałej w Berlinie oddawna Polki. Oto charakterystyczne ustępy tego listu:

„Przed sześciu laty często przestawałam w towarzystwach polskich. Na każdem posiedzeniu zbierano składki na szkółki polskie, aby dzieci nasze mogły się nauczyć swego języka.“ „To będzie pomocą dla naszych biednych dziatek, myślał niejeden i dawał chętnie. Ale dzieci, w domu i w szkółce mówiąc po polsku, w szkole miejskiej nie rozumiały zupełnie nauczycieli i nie doszły dalej, jak do 2-giej lub 3-ciej klasy; potem gdy szły do rzemiosła, albo na jakie miejsce, — każdy się pytał o atest ze szkół, więc też dla braku atestu zmarnowało się ich w biedzie dużo. Któż temu winien, że do innych dzieci mówi się teraz w domu po niemiecku, żeby tylko wyżej poszły, bo z tamtemi — żal się Boże, co się porobiło. A z polskiemi dziewczętami, jeśli im nic nie pozostaje jak iść do fabryki, to zgroza czem one się muszą opłacać, bo im mniej się która zapoznała z niemiecką nauką, tem gorzej ją potem, jak przybłędę, traktują i nadużywają. My tedy, co przez głód jesteśmy zmuszani do obcej mowy, więcej może od innych kochamy swój kraj, tęskniąc ze łzawem okiem, — a tu znikąd nadziei i poprawy.“

Komentarze do listu tego są chyba zbyteczne.

Powiązanie kwestyi polskiego wychowania dzieci na obczyźnie z ekonomicznemi warunkami jest tu dość wyraźne, aby można rozpoznać, że momentem, decydującym o mniejszej lub większej odporności młodego pokolenia na obczyźnie jest większy, lub mniejszy zasób środków materyalnych.

Jedną z dalszych przeszkód, paraliżujących wychowanie młodego pokolenia na podstawach narodowych, jest zaznaczony już powyżej demoralizujący wpływ stosunków wielkomiejskich, dzięki którym młodzież w bardzo wczesnych latach staje się niezależną od rodziców.

W jednym z dawniejszych roczników „Dzien. Berl.“ znajduje się następujący obrazek z życia młodzieży polskiej na obczyźnie:

„Niedawno spotkałem w pewnej polskiej restauracyi członka jednego z naszych towarzystw, wraz z jego 15-letnim synem. Synalek palił cygara i pił wódkę jak stary. Kiedym ojcu wyraził z tego powodu zdziwienie, odpowiedział mi: „Mój syn wyszedł już ze szkoły, zarabia sam, nauczyciela nie potrzebuje!“

„Żona tego Polaka wraz z córką przybywa na posiedzenie towarzystwa, ojciec zaś prowadza swego syna do szynkowni, ale tyle nad nim władzy nie ma, aby go zaprowadzić na posiedzenia towarzystwa, chyba na jaką zabawę polską.

„Takich jest więcej. Cóż robi młodzież nasza? Nie widzimy jej w towarzystwach, na odczytach, a jeśli się pokaże na posiedzeniach, to jedni przy kartach, inni przy bilardzie, a największa część prowadzi życie nocnych hulaków. Najchętniej ucieka młodzież z pod oka rodziców, którzy jej też wolności nie wzbraniają; unika pożytecznych towarzystw i goni tylko za rozrywką.

„Gdzie tu pora i sposobność do pomyślenia o narodowości?“ *K.*



*) „Gazeta polska“ w Berlinie. Nr. 35, rok 1893.

Brak książek.

Od jednego z naszych stałych czytelników i przyjaciół, który oddawna już żywo się interesuje życiem młodzieży naszej, zwłaszcza rzemieślniczej, otrzymaliśmy list, w którym zastanawiając się nad przyczynami stosunkowo późnego narodowego przebudzenia w kołach młodzieży kupieckiej, rzemieślniczej i wogóle małomieszczańskiej, przypisuje ten objaw brakowi książek i tak pisze:

„Jakkolwiek narodowe uświadamianie młodych należy do najwdzięczniejszych zadań, jakie może mieć przed sobą działacz społeczny, to wszakże w społeczeństwie naszem pod tym względem dziwna panuje obojętność, która zupełnie nie harmonizuje z poważnemi usiłowaniami utrzymania narodowego wychowania dzieci, oraz rozbudzenia narodowej samowiedzy u obywateli.

I gdyby nie te kilka towarzystw kupieckich i młodzieży handlowej, te kilka stowarzyszeń pracującej w rzemiośle młodzieży, to istotnie nasi młodzi pozbawieni byliby zupełnie książek.

Panuje na tym punkcie tj. co do wyboru dzieł godnych czytania, zupełna nieświadomość, która zresztą nikogo dziwić nie powinna. Młodzież, która już wyrosła z pod opieki ojcowskiej, a jeszcze nie zdobyła się na założenie własnego ogniska domowego, nieraz mimo najlepszej chęci ze swej strony, nie jest w możności zoryentowania się na rozległem polu naszej literatury.

Przeto podaję spis książek, które powinny się znajdować w rękach naszych młodych i które młodzi skrzętnie nabywać powinni.

Parol nasz powinien brzmieć: Społeczeństwo potrzebuje inteligentnych i rodzimą kulturę znających kupców i przemysłowców. Obok fachowego wykształcenia nie zaniedbujmy ogólnego.

A oto książki:

Szajnocha. Szkice historyczne.
Askenazy. Przymierze polsko-pruskie.
Z. Heryng. Logika ekonomii.
Kozłowski. Co i jak czytać?
Bem. Teorya poezyi polskiej.
Spasowicz. (Tłom. Bema) Literatura polska.
Bobrzyński. Historya polska.
Rakowski K. Powstanie poznańskie w 1848 roku.
X. Y. Stuletnia walka narodu polskiego.
Zarys dziejów Polski porozbiorowej (nakł. Templowicza).
J. Kasprowicz. Żywot K. Marcinkowskiego (nakł. Tow. Im. Stan. Staszica. 1891.)

Z literatury powieściowej:

H. Sienkiewicz. Potop.
„ Ogniem i Mieczem.
„ Pan Wołodyjowski.
„ Krzyżacy.
Zych. Syzyfowe prace.
Pereświt. Bajki.
J. Kasprowicz. Bunt Napierskiego.
Maurycy Jokay. Poruszymy z posad ziemię.
Zmudzki. Bór.

Powyższe, niesystematyczne zresztą zestawienie książek, godnych polecenia, może niejednemu będzie wskazówką źródeł, z których czerpać może narodową kulturę.

Wreszcie należałoby zwrócić uwagę licznym adwokatom, lekarzom, osiadłym po małych miasteczkach i wogóle inteligencyi, pojmującej potrzebę pracy społeczno-narodowej, aby — mając książki polskie do czytania — nie zamykali ich we własnych bibliotekach dla parady, ale aby użyczali młodym handlowcom i światlejszej młodzieży rzemieślniczej. *Książka — tak jak pieniądz — powinna być wciąż w kursie, przechodząc z rąk do rąk: wtedy jest najproduktywniejszą.*

S. S.“



Niezdrowy objaw.

Z kół dobrze poinformowanych odbieramy następujące pismo, z którego dla dobra sprawy i wyjaśnienia rzeczy chętnie korzystamy, umieszczając je niniejszem:

Szanowna Redakcyo!

W prasie naszej, skąd innąd tyle w informacyach swych ostrożnej, znajdujemy nieraz wiadomości, nie licujące zgoła z poważnym charakterem pism naszych. Otóż czytamy nieraz w rubryce ulotnych wiadomości rzeczy takie n. p.

„Rodak nasz pan N. N. *powołanym* został na *zaszczytne* stanowisko *asystenta* przy laboratorium chemicznem lub fizykalnem uniwersytetu lub politechniki, dajmy na to w Berlinie czy w Dreźnie.“

Koroną takich bezkrytycznych, niby to nader pochlebnych dla rodaka naszego i dla nas wiadomości, była puszczona czasu swego przez gazety kaczka, tej mniej-więcej treści, że *młody* nasz *rodak*, (student z drugiego czy trzeciego kursu) został *dyrektorem (!)* instytutu astronomicznego w B., przyczem dodawano, że o stanowisko to ubiegały się równocześnie naukowe powagi profesorskie, ale rodak nasz otrzymał pierwszeństwo. Ta wiadomość była nietylko przesadzona i napuszystością swą niesmaczna, ale wprost nieprawdziwa, gdyż w mowie będący młody człowiek został naturalnie nie dyrektorem, ale zwykłym asystentem rzeczonego instytutu, a o stanowisko to pewno nikt prócz niego, w żadnym razie żaden z profesorów się nie ubiegał.

Ktokolwiek zna z własnego doświadczenia stosunki asystentów i obowiązki asystentów, na tym podobne wiadomości robią zawsze nader przykre, prawie upokarzające wrażenie. Stanowisko asystenta bowiem nie jest wcale tak zaszczytnem, jakby się to ludziom ulegającym uczonemu brzmieniu słowa „asystent“ zdawać mogło. W zwykłych warunkach taki asystent bowiem nie jest niczem więcej jak lepszym chłopcem do posługi profesora, wystawionym na jego humor i zachcianki. W instytutach fizykalnych, chemicznych, astronomicznych, głównym obowiązkiem takiego asystenta jest utrzymanie aparatów w porządku i komplecie i potrzebne do każdorazowej prelekcyi i eksperymentów przyrządy przygotować i profesorowi podawać.

Są to rzadkie wyjątki, przeważnie przy politechnikach zachodzące, że asystent jest także w nauczaniu profesorowi pomocnym.

W żadnym razie na asystenta nigdy nikogo nie *„powołują“*, jak piszą nasze gazety; lecz profesor asystenta potrzebujący, oznajmia to plakatem w uniwersytecie lub anonsem w piśmie i tego, który mu się zgłosi, do boku swego przybiera. Konkurencya tu nie duża, nieraz żadna, bo kto asystentury raz zasmakował, ten ma jej zazwyczaj dosyć i cieszy się, że przejściowe to zajęcie ma po za sobą.

Nie piszę tego po to, by odzierać naszych asystentów z blasku, jaki takie szumne wiadomości umieszczone w pismach na nich w kraju rzucać mogą. Ludzie czujący sami wewnętrzną swoją wartość, nie lubią pustej reklamy, która w nich wstręt tylko obudza i zazwyczaj wcale wdzięczni nie są „przyjaciołom“ za głoszenie o nich po pismach takich wiadomości, które w oczach ludzi poważnych jedynie śmiesznością okryć ich mogą.

Chodzi mi jednak o to, by zwrócić uwagę na ten objaw w społecznem życiu naszem stanowczo niezdrowy, a nawet wprost demoralizujący. Prasa nasza tak często i słusznie powstaje przeciwko bladze i pyszałkowatości krzewiącej się wśród nas; umieszczaniem zaś takich bezkrytycznych wiadomości i stęplowaniem w nich ludzi na wielkości sama te wady hoduje. A objaw ten jest nowym, bolesnym dowodem naszego ubóstwa materyalnego i moralnego. Materyalna bieda nasza, polityczne warunki, nie pozwalają nam na każdy rozwój nauk i umiejętności w kraju. Tem skwapliwiej notujemy więc fakty najzwyklejsze w świecie, o których gdzie indziej nawet nikt nie wspomni, głosimy je po pismach i nadajemy im pierwszorzędne znaczenie. Czyż to nie przykre, nie upokarzające dla nas? czy to nie zawstydzające wobec obcych, wrogich nam ży-

wiołów? I znowu stwierdza się prawda Słowackiego myśli: „Pawiem narodów byłaś i papugą.“

Dr. ..... ski.



Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień polityczny obfitował w zasługujące na uwagę wypadki i wydarzenia.

Przedewszystkiem należy wspomnieć o zamknięciu wystawy paryskiej, którego dokonano uroczyście: Francya wystawą osiągnęła najzupełniej cel zamierzony i — jak skonstatował prezydent republiki — z zadowoleniem spogląda na plony, które w równej mierze korzyść przyniosły wszystkim narodom.

I nasz handel i przemysł, jakkolwiek w rozmaitych politycznych działach reprezentowany, uzyskał na wystawie paryskiej poważne uznanie w postaci szeregu pierwszych medali i odznaczeń. Lecz nietylko przemysł i handel — ale i sztuka, zarówno stosowana, jak i służąca wyłącznie artystycznym celom, chlubne składała świadectwo o naszym rozwoju.

Przewidywany przyjazd cara Mikołaja do Paryża na wystawę — nie doszedł do skutku. Byłby się może cesarz rosyjski wybrał, gdyby powikłania dyplomatyczne, stojące w związku z wojną chińską nie stanęły temu na przeszkodzie. Zresztą cesarz Mikołaj leży już przeszło tydzień chory w Liwadyi. Wiadomość, o chorobie carskiej zaniepokoiła w wysokim stopniu cały świat polityczny. Najpierw głoszono, że car zachorował na influenzę, później nadeszła wiadomość, że chory jest na tyfus brzuszny, wreszcie że podano mu w potrawach truciznę. Ta ostatnia wiadomość nie sprawdza się, za to prawdą jest, że cesarz rosyjski leży chory na tyfus brzuszny. Choroba na tyfus brzuszny jest niebezpieczną, jakkolwiek zapewniają z rozmaitych stron, że życiu cara nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Sprawa chińska obecnie już należy przed forum parlamentu, który w ubiegłym tygodniu został otwarty.

Parlament niemiecki na pierwszem swem posiedzeniu zajmował się wyborem biura, czyli zarządu parlamentarnego. Marszałkiem został ponownie obrany hr. Ballestrem, pierwszym wicemarszałkiem konserwatysta Frege, drugim nacyonałliberał Büsing. Dotychczasowym drugim wicemarszałkiem był postępowiec Schmidt. Tenże teraz jednak przepadł, uzyskawszy tylko 55 głosów, podczas gdy nacyonał liberał Büsing otrzymał 181 głosów. Na socyalistę Singera padło 50 głosów. Postępowiec Schmidt jako poseł należy do partyi Richtera, która występuje ostro i energicznie przeciwko rządowi. Widocznie większość posłów nie chciała, żeby członek takiej partyi należał do zarządu parlamentarnego.

Otwarcie parlamentu odbyło się tym razem — jak pisze „Freis. Ztg.“ — z wykluczeniem publiczności. Dawniej odbywały się uroczyste te akty w białej sali zamku cesarskiego, która posiada obszerne galerye. Na te galerye wpuszczano gości cesarskich, dziennikarzy i wyborową publiczność. W tym roku wybrano na ten cel salę rycerską zamku, która galeryi nie posiada. Wskutek tego nie dopuszczono na ten akt uroczysty nawet dziennikarzy. „Freis. Ztg.“ przypuszcza, że zmiana ta nastąpiła wskutek najnowszych zamachów na głowy koronowane, dla bezpieczeństwa Cesarza.

Na dowód, jak mało sympatyczną jest obecna polityka chińska rządu niemieckiego, przytacza „Freis. Ztg., iż mowę od tronu przyjął parlament głuchem milczeniem. Dawniej oklaskiwano rozmaite ustępy mów od tronu, tym razem oklaski nie odezwały się wcale.

Tymczasem oficyalne gazety donoszą, że nareszcie osiągnięto już zgodę mocarstw co do warunków zawarcia pokoju.

Uchwałę odnośną uznano za nieodwołalną. Warunki to takie:

1) Rząd chiński winien wysłać do Berlina osobną deputacyą pod przewodnictwem jednego z książąt rodziny cesarskiej, która tam wyrazi ustnie ubolewanie z powodu zamordowania posła Kettelera, czyli — innemi słowy — rząd niemiecki za tę zbrodnię przeprosi. Oprócz tego ma rząd chiński własnym kosztem na miejscu popełnienia zbrodni wystawić pomnik z chińskim napisem, w którym także ma być wyrażone ubolewanie i potępienie zbrodni.

2) Wszystkich przywódzców i sprawców rozruchów, wymienionych w dawniejszych edyktach cesarza oraz w notach mocarstw, winien rząd chiński ukarać śmiercią.

3) Przez 2 lata mają być we wszystkich urzędach chińskich wywieszone rozporządzenia tej treści, iż przynależność do sekty „bokserów“, karaną będzie śmiercią; dalej mają być w tem rozporządzeniu wymienione kary, jakie spotkały przywódzców. Wszyscy wicekrólowie prowincyi oraz inni dostojnicy mają osobiście odpowiadać za wszelkie krzywdy, jakie w ich okręgach wyrządzone zostaną Europejczykom i Japończykom. Ci zaś, którzy zezwolą chociażby tylko na uprzykrzanie obcym pobytu, mają być natychmiast złożeni z urzędu i nigdy już nie wolno im piastować publicznych urzędów. Na każdym, podczas rozruchów zbezczeszczonym grobie obcokrajowców, winien rząd chiński wystawić pomnik z odpowiednim napisem.

4) Najwyższa rada dla spraw zewnętrznych: Czungli Yamen ma być zupełnie zreformowaną. Stosunek posłów do dworu zostanie tak uregulowany, jak sobie mocarstwa życzyć będą.

5) Chiny mają wszelkie szkody, wyrządzone podczas rozruchów zarówno obcym mocarstwom jak i poszczególnym prywatnym ich poddanym odpowiednio wynagrodzić. Prawo do wynagrodzenia takiego mają także ci Chińczycy, którzy pozostali w służbie u obcokrajowców.

6) Zakaz dowozu broni i amunicyi do Chin obowięzywać będzie tymczasem nadal.

7) Każde mocarstwo uzyska prawo utrzymywania w Pekinie dla poselstwa swego osobnej stałej straży. Dzielnica, w której mieścić się będą poselstwa zostanie ufortyfikowaną. Chińczykom w niej nie będzie wolno mieszkać.

Fortyfikacye w Taku, oraz wszelkie inne, które mogłyby przeszkadzać komunikacyi między Pekinem a wybrzeżem, zostaną zburzone. Mocarstwom przysługiwać ma prawo do obsadzenia załogą kilku miejscowości, położonych między stolicą a wybrzeżem, celem utrzymania swobodnej komunikacyi z Pekinem.

Jak wiadomo, rząd niemiecki przygotowuje powszechny spis ludności. Spis ten odbędzie się dnia 1 Grudnia r. b.

Tym razem chce widocznie rząd dowiedzieć się, do jakiej narodowości kto się przyznaje a raczej jaki jest jego język ojczysty, bo na kartach są podane rozmaite języki: niemiecki polski, francuzki, czeski i t. d. Każdy ma **podkreślić** na owej karcie słowo **„polnisch“**, a Niemiec słowo „deutsch“. Gdyby zaś jego język ojczysty na tej karcie nie był wcale wymienionym, ma obowiązek przekreślić nazwy wszystkich innych języków, a napisać nazwę swego języka ojczystego.

Prosimy, aby czytelnicy nasi oświecali lud polski pod tym względem. *K. O.*



PRZEGLĄD PRASY.

Sprawę wychowania naszej młodzieży w szkołach pruskich poruszaliśmy już niejednokrotnie, wykazując całą szkodliwość systemu germanizacyjnego. Czyniliśmy to w poczuciu obowiązku, ponieważ sprawą tą społeczeństwo niedość się zajmowało.

Artykuły nasze i w prasie galicyjskiej wywołały echo. **„Kuryer Lwowski“** napisał:

„Niedawno poznański tygodnik „Praca“

ogłosił szereg artykułów, opisujących bezprzykładne stosunki, jakie panują w gimnazyach prowincyi poznańskiej, wykazując, że zarówno cały system szkolny jak dobór książek w bibliotekach gimnazyalnych i postępowanie samych nauczycieli zmierza do zabicia w młodzieży ducha.

„Oczywiście, że wykazać takich rzeczy nie było można teoretycznie, lecz trzeba było wyraźnie powiedzieć: w tem, a w tem mieście, taki a taki profesor gimnazyalny tak postępuje. Artykuły te wzbudziły szereg polemicznych odpowiedzi na łamach jednego z pism poznańskich. Działając widocznie pod pierwszym impulsem, pismo to zaczęło głosić zasadę: „Na Boga, nie poruszajmy stosunków gimnazyalnych! Nie zakłócajmy zgody pomiędzy uczniami a nauczycielami!“

„Orędownik“ napisał wtedy z naiwną szczerością: „choćby i w gimnazyum nie stał się chłopiec gorąco swą narodowość kochającym młodzieńcem, to stanie się nim na akademii lub później przez żonę i dzieci cierpiące krzywdę — wiadomo, że tylko nieznaczna zupełnie część naszej inteligencyi się wynaradawia — w każdym razie będzie się miało przekonanie, iż przez niezwracanie uwagi na stosunki wspomniane nie zaszkodziło się w gimnazyum nikomu w osiągnięciu stanowiska materyalnego, będącego podstawą bytu wszelkiego“.

„Orędownik“ nazwał krzykackim patryotyzmem poruszanie tak drażliwej sprawy i zalecił system nie drażnienia władz!

„Wprawdzie „Praca“ odpowiedziała na te argumenty energicznie, ale nie ulega wątpliwości, że bardzo liczne koła wyznają na tym punkcie zasadę „nie drażnienia władzy“. Świadczy to tylko, że chociażeśmy na pozór zerwali z polityką ugodową, to jednak weszła ona tak głęboko w życie polityczne społeczeństwa, że choć nie na arenie parlamentarnej, ale w obrębie lokalnych stosunków polityka zgodnego pożycia z władzami, nie drażnienia ich, choćby z uszczerbkiem dla sprawy narodowej, wciąż jeszcze święci tryumfy!“

Jeszcze dosadniej ujął sprawę w naszej myśli **„Tygodnik Narodowy“**. Napisał on mianowicie co następuje:

„Poznański tygodnik „Praca“, trzymający się nietylko w zasadzie, ale i w szczegółach, radykalnej polityki przeciw Prusakom, wykazał niedawno w szeregu artykułów, że nasza młodzież, pozostawiona przez społeczeństwo bez wszelkiej opieki i pomocy, w zdobywaniu wykształcenia narodowego, znajduje się pod najcięższym może obuchem germanizacyjnym, bo pedagodzy gimnazyalni tak kierują jej wykształceniem, aby wyplenić wszelkie „polskie naleciałości“. Rugowanie języka polskiego ze szkoły i z prywatnych stosunków, przeprowadzanie rewizyj domowych w razie podejrzenia, że uczeń posiada książki polskie, wciskanie zohydzającej naszą przeszłość lektury z biblioteki gimnazyalnej, a przytem ospałość, czy obojętność rodziców polskich, którym chodzi tylko o to, aby ich dziecko najłatwiej skończyło nauki. — to wszystko na szeregu przykładów z życia, wskazaniem z nazwiska nauczycieli-germanizatorów i miast, w których oni rozwijają swą działalność, zostało opublikowane w „Pracy“.

„Nasi polityczni tchórze (a nie brak tu takich, bo polityka ugody i niedrażnienia rządu wżarła się w krew i ciało) zaczęli biadać: Otóż „Praca“ popsuła uroczą idyllę, jaka trwała w spokoju pomiędzy uczniami i nauczycielami! Społeczeństwo miało spokój, pedagogom nie przeszkadzano w ich zajęciach, pocóż ich więc drażnić? Lepiej zaniechać tej „drażliwej“ sprawy, niech się tam młodzież germanizuje, to przecież po skończeniu gimnazyów może się zawsze spolszczy.

„I zaczęto wołać: Nie drażnijcie pedagogów, bo mścić się będą. Lepiej żyć z nimi w zgodzie.

„I co najdziwniejsza, to że „Orędownik“, niby organ ruchu ludowego i niby najzaciętszy wróg ugody, nie spostrzegł się, że tym razem propaguje właśnie najszkodliwszą ugodę, że zaprzedaje młodzież germanizatorom, twierdząc, iż o tej „drażliwej“ sprawie nie należało pisać.

„Taka to u nas panuje jeszcze niekonsekwencya polityczna. Huzia! na ugodę z rządem, wołają wszyscy, gdy chodzi o jakieś głosowanie za marynarką, lub powiększeniem wojska. Ale gdy chodzi o sprawę młodzieży polskiej, która jest narodu przyszłością, tam rzekomo najtrzeźwiejszy polityk i wytrawny socyalista woła: Nie drażnić władz! Niech robią z gimnazyastami, co im się podoba! Nie tykajcie tej drażliwej sprawy!

„Tymczasem dla nas nie powinno być żadnych mniej, lub więcej drażliwych spraw. Jasne, zrozumiałe i otwarte postawienie kwestyi nie może szkodzić żadnemu społeczeństwu, które tak, jak nasze, chce iść pod hasłem samopomocy.“

Chcąc poświęcić dzisiejszy przegląd prasy sprawom młodzieży — przechodzimy do innej, niemniej interesującej polemiki.

Pomiędzy „Orędownikiem“ a „Dziennikiem Berlińskim“ wywiązała się obecnie żywa polemika, która teraz doszła już do najostrzejszego stanu.

Co do „Orędownika“ — to mieliśmy sposobność w ostatnich czasach niestety aż za często podziwiać zarówno nietakt, jak też wprost sprzeczne z lepszą wiarą postępowanie tego pisma. Obecnie poczuła tę rozkładową robotę „Orędownika“ na sobie nasza narodowo myśląca młodzież akademicka, która grupuje się koło „Dziennika Berlińskiego.“

Dziennikiem Berlińskim nie zajmowaliśmy się w ostatnich czasach dlatego, że żywiąc pełną sympatyę i życzliwość dla „młodych“, hołdowaliśmy zasadzie, iż „młode piwo musi się wyszumieć“ i z przyjemnością widzieliśmy, jak ów proces fermentacyi myślowej pod działaniem doświadczeń i praktyki się dokonywał coraz szybciej i dziś dobre zapowiada nadzieje. Naturalnie jedną z pierwszych nauk, jakich praktyka dostarczyła, była dla „Dziennika Berlińskiego“ nauka, że w niczem nie można polegać na „Orędowniku.“ Wynikiem tego było wyłamanie się z pod Orędownikowego patronatu. Rozsierdzony dyrektor ruchu secesyjnego naturalnie zarzucił natychmiast Dziennikowi Berl., że już „odstępuje od swych dawnych ideałów.“ Mało tego, bo do tego zarzutu, dorzucił nowy, gorszy, przechodzący swą brutalnością wszystko, co kiedykolwiek w prasie polskiej o młodzieży akademickiej pisano. Mianowicie zarzucił akademikom, że 1) pracują za warszawskie żydowskie ruble, 2) że sieją nienawiść do caratu, 3) że zatem powinni mądrzejsi pośród nich urządzić secesyę.

„Orędownik“ widocznie tak roznamiętniony był walką, że zapomniał o wszelkich granicach elementarnej etyki dziennikarskiej. Zapomniał on, że bezpodstawnie rzuca podejrzenie na młodzież uniwersytecką z Królestwa, iż bierze udział w narodowym ruchu pruskiego zaboru; posunął nienawiść do tego stopnia, iż tę samą młodzież z Królestwa oskarża o szerzenie nienawiści do caratu. Czy „Orędownik“ nie wie, że jedna taka denuncyacya wystarczy, aby rząd rosyjski, nie dochodząc prawdziwości słów jego, uważał berlińskich akademików z Królestwa za przestępców?

Postawienie zresztą podobnego zarzutu jest ze strony rzeczonego pisma tem większą niegodziwością, że przecież owa młodzież nie może mu powiedzieć: nieprawda, bo my jesteśmy wielce przywiązanymi wielbicielami caratu.

To też **„Dziennik Berliński“** tego — najdrażliwszego punktu nie dotykając, — tak pisze o „Orędowniku“:

„Orędownik“ wzywa „poważniej i głębiej myślącą“ młodzież, żeby „wszystkiemi siłami parła do rozłamu i rozdzieliła się na dwa obozy, pozostawiając nierozważnych i lekkomyślnych w osobnym obozie“.

„Przedewszystkiem zapytujemy się, do kogo się tu „Orędownik“ odzywa, kto ma „przeć do rozłamu?!“

„Żeby „Orędownik“ mógł pojąć, jak się słowami temi ośmieszył! Może być „Orędownik“ przekonanym, że my, których on zwalcza, nie tworzymy garstki fanatyków, może być przekonanym, że wiemy, czego chcemy.

„Jak powiadamy, obawiać nie mamy się czego, ale fakt pozostaje faktem. Młodzież polska zaboru pruskiego ostatnia zbudziła się z letargu: ledwo zerwała się do pracy, a już znalazło się pismo, które ją wzywa do rozłamu! Dlaczego? Bądźmy otwarci: bo „Orędownik“ chciałby między nami — jak wszędzie — rej wodzić, a ponieważ my na to nie pozwoliliśmy, więc począł nas błotem obrzucać, począł wzywać do rozłamu. To wystąpienie „Orędownika“ piętnujemy jako **wielką niegodziwość**.

„Energicznie występujemy przeciwko twierdzeniu, jakobyśmy ulegali wpływom „warszawskich żydów“ ze względu na ich „grosze, których wśród polskiej kształcącej się młodzieży zwykle brak“. Jeżeli „Orędownik“ z „warszawskimi żydami“ osobiście mniej czy więcej smutne porobił doświadczenia, niech drugich nie posądza o frymarczenie hasłami i ideałami. *Wolno „Orędownikowi“ nasz sposób myślenia i nasze stanowisko bezwzględnej poddawać krytyce, ale nie wolno mu za pomocą słowa drukowanego w czytelnikach swych budzić bezpodstawne a zuchwałe posądzenie, że pracujemy za żydowskie ruble.* Mimo to, że etyka nie jest forsą „Orędownika“, oświadczamy stanowczo, że jeżeli rzeczone pismo raz jeszcze ośmieli się zakwestyonować naszą *uczciwość* polityczną, **zażądamy bezwarunkowo od jego wydawcy i naczelnego redaktora satysfakcyi.** Nie będziemy apelowali do „opinii publicznej“ lub do prokura-

tora, lecz w inny sposób zmusimy „Orędownika“ do trzymania się w granicach przyzwoitości i uczciwości.

Przytaczając głos powyższy w chęci dopomożenia interesowanym kołom akademickim do uzyskania moralnej satysfakcyi, dajemy życzliwą a serdeczną radę, aby zaniechali z „Orędownikiem“ polemiki, która się może skończyć wulkanicznym wybuchem. Jest to pismo w pełnem tego słowa znaczeniu krętackie, którego krętactwo zresztą już jest jasne społeczeństwu. A Wasza pomoc może krajowi być bardzo potrzebną.

„Wielkopolanin,“ który ogłosił już kilka treściwych korespondencyi z rozmaitych miast Księstwa w sprawie germanizacyi naszej młodzieży gimnazyalnej, zwraca bardzo trafnie uwagę rodzicom ze sfer inteligentnych w poniższych słowach:

„Uczmy dzieci czytać i pisać po polsku! wołają ciągle gazety nasze. Zwykle mamy przytem na uwadze klasy niższe, a tu niestety w niektórych razach i do klas wyższych nawoływania te stosować się powinny. Oto przykład: Chłopiec 9-letni, synek wybitnego obywatela nie umie jeszcze po polsku bezbłędnie pisać. Jeżeli ojciec pobłażliwość swoją dalej posuwać będzie, wątpić się godzi, czy synek, oddany później do niemieckiego gimnazyum po polsku się nauczy. — Uczmy więc dzieci czytać i pisać po polsku, ale wszyscy, w wszystkich stanach, żeby zły przykład źle nie oddziaływał na maluczkich.“

W jednym z ostatnich numerów „Teki“ znaleźliśmy wiadomość z Chełmna z Prus Zachodnich o skasowaniu wykładów języka polskiego wbrew wyraźnym życzeniom fundatorów:

„W gimnazyum naszem, utworzonem na podstawie starej, wyższej szkoły polskiej, która tu przez długie lata istniała, w gimnazyum, założonem przeważnie z funduszów polskich z zastrzeżeniem, że po wieki wieków z katedry rozbrzmiewać będzie mowa polska, w tem samem gimnazyum zniesiono naukę języka polskiego w klasach niższych, aż do tercyi, a niebawem, może już od Nowego Roku skreśli ją władza szkolna z planu wszystkich klas, jak już poznać dała władza. Nawet w kościele gimnazyalnym, w którym się za lepszych czasów polskie odbywały kazania, dziś: niemieckie kazania, niemiecki śpiew, niemiecka modlitwa...“

Tem większy obowiązek ciąży na rodzicach, aby starali się rozbudzić w swych dzieciach dążenie w kierunku zapoznania się z polską literaturą i historyą.

Zwłaszcza lud polski na Górnym Śląsku jest w ciężkiem położeniu. Nie trzeba o tem dużo mówić, chyba tam, gdzie każdy nabyty przez włościanina polskiego kawałek gruntu oznacza niejako wyjątek z reguły — która, niestety, oznacza stałe usuwanie się ziemi z pod stóp naszych.

Ale pomimo swego ciężkiego położenia ten lud polski ma poczucie tego, że potrzeba niezmiernie inteligencyi polskiej, że potrzeba synów posyłać do szkół, do gimnazyów, aby z czasem wśród klasy inteligentnej stanowili czoło narodu. Rodzicom polskim, co pamiętają pod tym względem o synach swych, szczere należy się uznanie, oni to bowiem w ten sposób kładą fundament pod przyszłość narodu.

Tam mianowicie gdzie — jak na Śląsku — bardziej jeszcze niż u nas potrzeba tej inteligencyi — tam niebezpieczeństwo germanizacyi jest tem groźniejsze.

Pisze o tem **„Dziennik Śląski“**:

„Jeżeli przy dzieciach, chodzących do zwyczajnych szkół elementarnych, rodzice sami pamiętać muszą o polskim pacierzu, o polskim elementarzu, to synom uczęszczającym do wyższych szkół, gimnazyów, zagraża jeszcze większe niebezpieczeństwo zniemczenia się, wynarodowienia się, zatraty mowy swych ojców, zaparcia się swego pochodzenia. Synowie, uczęszczający do gimnazyów, nie uczą się w szkole po polsku, bo w gimnazyach tego nie uczą, a przytem otoczeni są ze wszech stron wpływami germanizacyjnemi, a te wpływy działają, pracują, wnikają w młode serca, sączą w nie germanizacyę kroplę po kropli.

„Nie leży w naszej mocy, abyśmy mogli usunąć, skasować wpływy germanizacyjne, ani też zmienić nie możemy kierunku germanizacyjnego wyższych szkół. Ale rodzice polscy muszą pamiętać o swych synach, żeby ich wychować na dobrych Polaków i katolików. Szczególnie sprawa polska na Ślązku potrzebuje dzielnych i tęgich obrońców. Ci synowie, którzy dziś uczęszczają do gimnazyów, mają kiedyś, gdy otrzymają wyższe, wpływowe stanowiska, być przewodnikami ludu polskiego w wszelakich sprawach. Przewodnikiem ludu zaś być powinien dobry katolik i Polak, który pozostanie wierny ludowi i jego zasadom się nie sprzeniewierzy. Kto się sprzeniewierzy zasadom ludu i nie jest ani tęgim katolikiem, ani Polakiem, taki nie może być dobrym przywódzcą ludu.

„Ciągle dochodzą nas skargi i żale na to, że lud polski na G. Ślązku nie może się dochować swej własnej polskiej narodowej inteligencyi tj. mężów z wyższemi naukami szkólnemi, którzyby ludowi byli prawdziwymi przywódzcami. Co który, choć z ludu pochodzi, dojdzie do wyższego stanowiska, (są oczywiście wyjątki, ale nieliczne) to wypiera się swego pochodzenia ludowego, zatraca mowę i narodowość polską i tonie w niemczyźnie. Z takich synów lud nie ma nietylko żadnej korzyści, żadnego pożytku, ale nadto przynoszą oni ludowi hańbę i sromotę, a przez wypieranie się swego pochodzenia i zatracanie swej narodowości sami się upodlają. Tacy, co wykształciwszy się, zrywają z ludem, nie troszczą się o niego, wypierają się swej narodowości, do której należą, zaprzepaszczają swój język i stają się Niemcami, tacy są wiarołomnymi synami i lud z oburzeniem i pogardą patrzy na tych wiarołomnych, co wykształciwszy się za ciężko zapracowane grosze rodziców polskich, a więc za grosz ludu, sprawie ludowej nietylko, że nic nie dają, ale ją jeszcze zdradzają. A niestety na G. Ślązku mamy sporo tych wiarołomnych synów i tem się tłómaczy, że lud na G. Ślązku nie może się dochować swej inteligencyi i że na siebie skazany, ciągle przeć i szamotać się musi sam w ciężkiej swej doli i twardem swem położeniu. A przecież cała sprawa ludu posuniętą zostałaby daleko, daleko naprzód, gdyby lud miał więcej własnych przywódzców. A z drugiej strony przywódzcy ci, wysunięci na czoło ludu w wszystkich jego sprawach, nabraliby znaczenia, treści, pewnej wartości w sprawach publicznych.“

Do tych więc rodziców, którzy mają synów w gimnazyach, zwraca „Dziennik Ślązki“ serdeczną prośbę, aby im nie dali zapomnieć o tem, czem być powinni. Właśnie teraz na Gwiazdkę zdarzy się sposobność do tego. Synowie przyjeżdżają do domów, należy, aby rodzice starali się w nich wpoić poczucie polskości.

Równocześnie z tem powinni rodzice zwrócić synom uwagę, aby przebywając na uniwersytetach zagranicą nie dali się wciągnąć do żadnej roboty politycznej lub spiskowej tego rodzaju, któraby mogła skończyć się dla nich procesem w rodzaju procesu Leitgebra. Należy rozróżniać ducha patryotyczno-narodowego w młodzieży, a nierozumną robotę polityczną: pierwszego niechaj budzą sami rodzice, drugiej niechaj sama młodzież się oprze, inspirowana jest ona bowiem zazwyczaj przez wrogów.

Słusznie rozróżnia obie te rzeczy **„Goniec Wielkopolski“**, pisząc w artykule z powodu wieści o rewizyach:

„Niepokojące wieści o rewizyach wśród młodzieży dokonanych jednocześnie przez policyjne organa dochodzą od kilku dni do naszej redakcyi. Niepokojące nie dlatego, iżbyśmy przypuszczali stwierdzenie jakiego spisku, jakiej przewrotnej organizacyi, bo przypuszczeniem podobnem ośmieszyć się tylko można. Z rozmaitych miast Księstwa i z głębi Niemiec listy opiewają też, że policya wszędzie doznała zawodu, gdziekolwiek spodziewała się natrafić ślad jakiego „światoburczego związku“, a doznała zawodu po prostu dlatego, że o sprzysiężeniu nie ma i nie może być mowy.

„Co wszakże niepokoi, to ten duch przejawiający się w rewizyach po stancyach młodzieży naszej, ten duch nie poprzestający na systemie wewnątrz szkoły, duch nie poprzestający na wykładzie niemieckim, lecz zaglądający nawet do mieszkań prywatnych i pożądający ograniczenia względnej swobody w prywatnem, dopełniającem kształceniu młodzieży. Chodzi nam o to, ażeby nawet rewizye nie odwodziły młodzieży od zapoznawania się z literaturą ojczystą w wolnym od szkolnych obowiązków czasie, bo tej nauki **literatury polskiej nikt zabronić nie może.**

„Donosząc o rewizyach, które w jednym i tym samym czasie, w jednym dniu zarządzono w licznych miejscowościach, wyrażamy to zaufanie do młodzieży naszej, że choćby nawet była kuszona kiedykolwiek do niewczesnych politycznych organizacyi, trzymać się będzie od nich z dala, a natomiast w sercach swoich zachowa to, co drogiem być powinno. Jak miłości Ojczyzny, tak też wiary i nadziei w lepszą przyszłość ani my ani pokolenia nasze nie zatracą, a pouczone doświadczeniami przeszłości tym rozumniej chronić będą miłość tę od bólu, a wiarę i nadzieję od zawodu.“

„W sprawie odbytych rewizyi pisze akademik p. S. z Hanoweru do **„Gońca Wielkopolskiego“** co następuje:

„Z polecenia poznańskiego sędziego

śledczego, tutejsza policya kryminalna zarządziła w ubiegły czwartek o $^1/_2$ 8 rano (!) u mnie rewizyą i to bardzo ścisłą, bo trwała przeszło godzinę. Szukano materyału informującego o mojem życiu akademickiem w Monachium w zeszłem półroczu. Podpadło prawdopodobnie, że mnie, jak wogóle Polaków akademików, nie widywano w żadnem pijackiem towarzystwie niemieckiem, że nie łączyłem się „z wszechniemcami" mając zajęcie inne.

„Jako „corpus delicti" zabrano mi — polskie listy prywatne i karty z widokami i zanotowano gazety u mnie znalezione, tj. Pracę, Gońca i Bayrysches Vaterland...

„Podaję to przez Szan. Pana Redaktora do publicznej wiadomości jako dowód, że śledzenie młodzieńców rozpoczęte latem, jeszcze nie ustało zapewne ze względu na grożące Niemcom niebezpieczeństwo"

„Oprócz powyższego otrzymaliśmy jeszcze —pisze „Goniec Wielkopolski" dalej: — cały szereg piśmiennych i ustnych doniesień o podobnych rewizyach, również bezskutecznych. — Pewnie i dalsza krzątanina policyi nie odkryje niczego, oprócz starej a mimo to zawsze świeżej prawdy tj. miłości i zapału młodzieży polskiej do tego, co polskie, co nasze..."

Podając wieści o tych rewizyach nadmieniamy przytem, aby rewizyami nikt się nie przestraszał, jest to bowiem codzienną rzeczą np. w Królestwie. W Prusach widocznie będzie coraz gorzej i należy się na to przygotować. Niech jednak nikt, u kogo wykonuje rewizyą policya, nie zapomina *wyraźnie żądać okazania rozkazu prokuratora lub sądu*, bo bez tego policyi nic nie wolno, a nieraz z własnej inicyatywy ona to robi. Niepotrzeba szukać aż procesu Sternberga, aby wykazać, że policya pruska nie zawsze trzyma się litery prawa...

Rząd pruski strasznie zagniewany na ks. Arcybiskupa Stablewskiego za jego energiczne zgromienie zbłąkanego pasterza ks. von Krzesinsky'ego. Nawet bióro Wolffa rozpowszechniało taki artykuł **„Berl. Pol. Nachr."**:

„Ks. Arcybiskup Stablewski wystąpił kilkakrotnie przeciwko niemiecko-katolickiemu kandydatowi na posła do parlamentu, ks. Krzesinskiemu, co dowodzi, że duchowieństwo w tejże archidyecezyi uważa katolicyzm i polskość za jedno. To stanowisko w sprawach narodowych nie może pozostać bez wpływu na zachowanie się rządu, który po prostu zmuszony jest duchowieństwo w tej archidyecezyi uważać za stanowczego przeciwnika usiłowań, skierowanych ku popieraniu niemczyzny w dzielnicach wschodnich. Dziennik półurzędowy kończy upomnieniem niemieckich katolików i katolickiego duchowieństwa na G. Szlązku, aby ze względu na wielkopolską agitacyę na G. Szlązku zagrodziło drogę podobnemu rozwojowi polskości na Górnym Szlązku."

W tych słowach rząd jasno deklarował swoje zamiary uczynienia z Kościoła stacyi germanizacyjnej.

Tu się spotkamy oko w oko z prześwietnym rządem i walka toczyć się będzie ząb za ząb. — — —

Ks. A. Brykczyński w **„Przeglądzie katolickim"** zwraca uwagę na interesującą książkę ks. Naudet p. t. „Notre Devoir Social", z której na szczególną uwagę zasługuje ustęp, zatytułowany: „Wyjątek z dziennika ks. proboszcza w Z." Ów ks. X. po przybyciu do wioski o ludności 600 dusz zaczął się rozglądać pilnie w potrzebach duchowych i materyalnych swoich parafian. Wieś była zbiedzona, obojętna względem rzeczy religijnych i pełna nieufności wobec swego proboszcza. Nie zrażając się tem, ks. X. badał skrzętnie stosunki i doszedł pomiędzy innemi do następujących wyników w zakresie najpilniejszych potrzeb materyalnych ludności. Trzeba było tedy:

„1) Wyszukać pieniędzy, aby wyrwać parafian moich z rąk lichwy.

2) Urządzić służbę zdrowia.

3) Znieść a przynajmniej zmniejszyć smutne następstwa pomoru inwentarza.

4) Ułatwić nabycie nasion rolniczych i nawozów.

5) Zaprowadzić maszyny rolnicze.

6) Pomódz moim parafianom do zgodnego spraw załatwienia."

Wszystko to zostało z czasem załatwione: przy pomocy i z inicyatywy proboszcza została założona kasa wiejska, powstał syndykat rolniczy, zjawił się we wsi doktor, znalazła się pomoc weterynarza i t. d. Wieś zmieniła się nie do poznania, a pomiędzy parafianami i proboszczem zapanowała zupełna ufność, przyczem dawna obojętność dla spraw religijnych znikła również bez śladu.

„Ja zaś — kończy proboszcz francuski — błogosławię Opatrzność i przekonywam się, że Mistrz dobrze powiedział: „Gdy przyjdziecie do jakiej wsi, leczcie naprzód chorych, a potem opowiadajcie Ewangelię."

Ks. A. Brykczyński cytaty powyższe zaopatruje w następujący komentarz:

„Sądzę, że nie zawadziłoby, a nawet przemogło i pod względem religijnym, gdybyśmy mutatis mutandis — pod pewnym przynajmniej względem tego proboszcza francuskiego naśladowali. A mam tu na myśli spełnienie onych słów, zalecanych nam w onem przepięknem a nigdy dość chwalonem dziełku „Ideał kapłana". Niechaj proboszcz wciąż przebiega parafię swoją myślą, troską, stopą."

„Zbliżmy się jaknajbardziej do tego ludu, pokochajmy go sercem całem; wejrzyjmy w jego troski i potrzeby nawet materyalne; zespólmy się, zżyjmy się z tym naszym ludem. Bądźmy jego słowem, jego opatrznością, jego pociechą!

Wszystkie te potrzeby, o których wspomina kapłan francuzki, istnieją w każdej niemal naszej parafi. Wglądnąć w nie i pomódz im, o ile to jest możebne, będzie to istotnie najpiękniejszem zadaniem kapłana. *M. B...*



Głosy młodzieży.

I.

Z kół naszej *młodzieży uniwersyteckiej* otrzymujemy poniższą korespondencyą:

Pomiędzy młodzieżą uniwersytecką, uczęszczającą na wszechnice niemieckie do niedawna jeszcze rozróżniać można było dwa odłamy. Jeden odłam—ochrzcony przez przeciwników obozem klerykałów, wsteczników, szlachty, czy jak tam kto chce inaczej, — drugi zaś odłam, był to obóz postępowców, nazywanych znowu przez przeciwników „socyałami."

Oba te obozy wrogo się zapatrywały na siebie; nierzadkie były walki pomiędzy temi stronnictwami. Lecz pobyt na obczyźnie i zapoznanie się z warunkami naszego wychodźtwa, które błagalnie wyciąga ręce po pomoc duchową do naszych uniwersyteckich studentów, wreszcie szerzące się powszechnie poczucie obrony naszych spraw narodowych. — wszystko to sprawiło, iż od roku 1897 może, zaczęły się gromadzić co lepsze elementy ze scharakteryzowanych powyżej odłamów, łącząc się na wspólnym gruncie—narodowym.

Dziś już wśród naszej młodzieży gimnazyalnej najsilniejszym obozem jest stronnictwo młodzieży myślącej patryotycznie i szczerze myślącej o obowiązkach wobec kraju. Zespolenie to pod hasłem narodowem odbyło się i wynikło niejako samo z siebie, gdyż przedstawiciele zarówno dawnych „socyałów" jak i „klerykałów" spotkali się przy wspólnej pracy, przy odczytach dla towarzystw polskich — i poznali, że teoretyczne spory nie wiodą do niczego. Jest coprawda wśród młodzieży uniwersyteckiej nieliczne grono socyalistycznie usposobionej młodzieży, ale głosy jej już przebrzmiały. I my, narodowo usposobieni studenci, dla których niedola polityczna kraju jest najważniejszą sprawą, bynajmniej nie wyłączamy „kwestyi społecznej" z tych zagadnień, któremi się zajmujemy, mamy oczy otwarte na niedolę mas pracujących przy warsztacie i pługu, z czcią chylimy głowę przed wszelkiemi usiłowaniami zdążającemi do poprawienia ich doli, ale nie uważamy socyalizmu za środek uleczenia niedomagań społecznych i przyspieszenia królestwa Bożego na ziemi.

Twierdzenie, że dziś „socyalizm jest jedną z najpotężniejszych sił postępowych i demokratycznych, bo jest to idea szerokich mas ludowych, bo otwiera szerokie widnokręgi dobra i szczęścia — twierdzenie takie uważamy za zgrabny frazes agitacyjny, ale nie możemy się zgodzić na to, że taki frazes wystarcza młodzieży, że olśniona nim powinna ona poprzestać na tej „karmi duchowej", którą jej podadzą agitatorzy. Nie wykluczamy kwestyi społecznej, owszem, obejmujemy ją, ale łączymy ją z rzetelną znajomością doli własnego narodu, jako jednostki zbiorowej, która wytworzyła pewną kulturę własną, mającą prawo do dbałości o swą odrębność. Łączymy ją dalej z potrzebą zbratania się inteligencyi polskiej z ludem polskim wiejskim, którego dola nie jest objęta programem socyalistycznym, a agitatorzy socyalistyczni, których naturalnym terenem agitacyjnym są miasta, skupiające proletaryat robotniczy fabryczny, pragną wyzyskać go dla swoich celów.

Przed 5—6 laty młodzież, pochodząca z Królestwa, wpływ której na naszych uniwersyteckich kolegów jest olbrzymi, przejęta była teoretycznym socyalizmem. Dziś to się na szczęście zmieniło, młodzież ta przeszła przez socyalizm jak się przechodzi chorobę, wyleczyła się z nie-

go i na gruncie narodowym znalazła źródło solidarności z kolegami z zaboru pruskiego.

Miłoby mi było, gdyby list niniejszy wśród naszej młodzieży uniwersyteckiej wywołał dyskusyę na łamach „Pracy.“ (Dyskusyi tej chętnie otwieramy łamy. *Przyp. Red.*)

Fr. N.

Berlin.

II.

Szanowna Redakcyo!

Grono berlińskiej i charlottenburskiej młodzieży akademickiej zwraca się do Szan. Redakcyi z prośbą o użyczenie nam gościnności w łamach „Pracy“, abyśmy mogli wyrazić najwyższe oburzenie nasze i pogardę dla wychodzącego w Poznaniu „Orędownika“, który w ubiegłym tygodniu ogłosił artykuł, uwłaczający młodzieży uniwersyteckiej berlińskiej, a nadto bezpośrednio prawie wskazał policyi drogę do mieszkań niektórych naszych kolegów. Ta denuncyacya, rzekomo z antysemickich płynąca pobudek, już wywołała smutne skutki. Daj Boże, aby druga potworna wersya, puszczona przez „Orędownika“ w niesłychany w prasie polskiej sposób, nie naraziła powracających do kraju kolegów na ciężkie przejścia.

Motywy taktyki „Orędownika“ nie są nam znane — nie mogą być wszakże szlachetniejsze od samego czynu, przed którym ze wstrętem się odwracamy. Nigdy ugodowa ani konserwatywno-lojalna prasa nie posunęła się do takiego denuncyowania, jak *„Orędownik“*, który hańbę by przynosił społeczeństwu, gdyby nie to, że on nie jest wyrazem jego przekonań.

Przyjmij Szanowna Redakcyo itd.

Grono młodzieży.

Berlin-Charlottenburg.

III.

Z kół *młodzieży rzemieślniczej* dochodzi nas list następujący:

Ponieważ mam już swoje lata, zaciągnięto mnie do wojska pruskiego. Muszę zatem pożegnać się i z kochaną „Pracą“. Na pożegnanie wypowiedzieć muszę kilka słów, które mam na sercu. Oto strach mi pomyśleć, jak strasznie niemczy wojskowa służba naszą młodzież. Jest to bicz zawieszony nad każdym z nas. A co najgorsza — to że nasza polska młodzież do wojaczki jest chętna, bo to we krwi leży i cała przyrodzona jej energia opaczny, a szkodliwy dla narodowości bierze kierunek.

Są młodzi ludzie zakochani poprostu w pruskiej służbie wojskowej. Dopóki ich do wojska nie biorą, na miły Bóg budźcie w nich ducha, kochana „Praco“, aby nie poszli jak ślepi w te pułki, zkąd wrócą przerobieni na maszyny do zabijania na komendę ludzi. Jeden z moich znajomych, który za rok idzie do wojska, wypytywał mnie, a jak to tam w pruskiem wojsku: „ile — powiada — jest fizyljerów, a ile konnicy? Jak poznać jenerała, a jak salutować przed cesarzem?“ Na to ja mu dałem „Pacę“ i rzekłem: masz, miły bracie, tam wyczytaj lepiej, gdzie i jak bili wrogów nasi kosynierzy! Czytaj, jak Kościuszko, naczelnik naszego narodu, przysięgę składał na wierność Ojczyźnie i namyśl się, jakbyś ty jemu salutował, gdyby on z grobu powstał. Tak on stał zawstydzony, bo poznał, że do pruskiego wojska nas prowadzi nie ochota, jeno mus.

Za dwa lata, gdy wyjdę, obym 20 tysięcy Czytelników zastał.

Michał B.

IV.

Szanowna Redakcyo!

Mając dzieci w szkole ludowej pruskiej, czuję się w obowiązku donieść do wiadomości publicznej, że obecnie pruska władza szkolna wydała już dla szkół ludowych t. zw. książki karne, w których zapisywane mają być uderzenia, wymierzone przez nauczyciela dziecku. Najnowszy ten wytwór królewsko-pruskiej pedagogiki rządowej przedstawia siedm rubryk, a mianowicie: 1) Numer porządkowy, 2) data, kiedy wymierzona została kara, 3) nazwisko ucznia, 4) rodzaj kary (część ciała obita), 5) powód kary, 6) nazwisko nauczyciela i 7) uwagi.

Widzę, że brak tu jeszcze dwóch rubryk. A mianowicie brak rubryki, *w której by wpisywał lekarz poświadczenie, że dziecku bicie zagraża niebezpieczeństwem* dla zdrowia, oraz rubryki, wykazującej, *na jaką karę nauczyciela sądy skazały za znęcanie się* nad dziećmi.

Niech żyje pruska pedagogja. Tfu!

Wasz M.

V.

Z kół naszej **rzemieślniczej Młodzieży** otrzymujemy jeszcze list następujący:

Majstrowie czescy dają swym uczniom wyzwolonym na czeladników (towarzyszy, pomocników) książeczki ze świadectwem o zdolności, obyczajach i t. p. rozumie się po czesku.

Na ostatniej stronnicy takiej książeczki wydrukowano następujące na przyszłość rady:

„Ku pamięci.

Dzień, w którym wyzwolono Was na towarzysza ma dla przyszłego życia Waszego wielkie znaczenie. Przy tej sposobności wręczenia Wam świadectwa wyzwolin zwracamy Wam uwagę na to, abyście pamiętali, że wstępujecie dzisiaj na drogę tworzącą granicę pomiędzy stanem dotychczas zawisłym, a niezależnym, prawie już samodzielnym.

Swobody tej powinniście użyć rozumnie i z pożytkiem dla siebie.

Nie zapominajcie nigdy o swym kraju rodzinnym, kochajcie zawsze mowę ojczystą, tę drogą mowę Waszych ojców, występujcie zawsze i wszędzie jako wierni synowie ojczyzny, starajcie się zawsze być godnemi Jej dziećmi, a pamiętajcie o powinnościach, jakie macie względem Boga, ludzi i siebie samego.

Idąc gwoli dalszej nauki w świat, nie podróżujcie na ślepo, ale zdążajcie zawsze do pewnego, raz wytkniętego celu, wystrzegajcie się złych towarzystw, *a szczególnie takich, co nie miłują ojczystej mowy i kraju rodzinnego.*

Nie unikajcie nigdy sposobności przyuczenia się czegoś nowego, albowiem tylko wprawa i wszechstronne wykształcenie we Waszym zawodzie będzie podstawą Waszego przyszłego szczęścia.

Jest to powinnością każdego towarzysza starać się ze wszystkich sił o jak najlepsze wydoskonalenie się w swem rzemiośle, aby jak najprędzej mógł urządzić sobie własną pracownią jako mistrz zdolny i zręczny.

Postępując podług tych szczerych rad naszych, zapewnicie sobie przyszłe szczęście.

Boże, daj Wam hojne szczęście, pobłogosław Waszym krokom i wzmocnij Was do pracy dla dobra naszej ojczyzny.“

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy kto u nas o czemś podobnem pomyślał kiedykolwiek?

Jeżeli się mylę, to najprzód ucieszyłbym się bardzo, a potem prosiłbym o podanie o tem do naszej kochanej „Pracy“.

W. Sz.

Młodości...

Lśnij ty mi wiecznie jasna, czarowna
Maro przeczysta młodzieńczych tchnień;
Niechaj nie ginie twój jasny cień
Ni w nicość płynie postać cudowna...

Marzeń i wierzeń mych ideale
Wiedź mię przez życie, naprzód wiedź,
Promienną gwiazdą nad czołem świeć,
Niezgasłem światłem prowadź, ku chwale!

Bodajbym nigdy w szlachetnym szale
We wirze walki nie padł bez sił
Ani nie uległ w pragnień nawale:

Ciebiem ukochał i ciebiem czcił,
Więc świeć mi nadal, wiernie i stale
Przez życia ciemnie, boś dotąd lśnił.

Ski.....

Korespondencya specyalna „Pracy“.

Berlin, 20-go listopada.

Szanowna Redakcyo!

Każdy wiec, który się odbywa wśród naszej berlińskiej Polonii jedną sprawą zwykł się wśród innych zajmować — a mianowicie brakiem odpowiedniej opieki duchownej.

W Berlinie, jako cząstce archidyecezyi ks. kardynała Koppa, który — jak wiadomo — do przyjaciół Polaków się nie zalicza, brak opieki duchownej dla Polaków nie powinien właściwie nikogo dziwić. Nie było jeszcze wypadku, aby ksiądz arcybiskup Kopp uwzględnił prośbę wychodźców polskich o polskich kapłanów. Opieka duchowna spoczywa w ręku księży niemieckich, którzy—nie władając wcale lub nie władając dostatecznie językiem polskim — nie mogą i pomimo najlepszych nawet chęci, zadośćuczynić potrzebom swych polskich parafian. Trzeba mieć na oku olbrzymią doniosłość kościoła dla polskich wychodźców, jako jedynego gromadzącego ich środowiska, aby módz w całej pełni ocenić doniosłość kazań polskich dla ludu. Społeczna działalność księdza polskiego wśród emi-

grantów na obczyźnie nieda się absolutnie z niczem porównać: ani z wpływem gazet i książek polskich, ani z wpływem towarzystw, ani z działalnością osób świeckich. Tak, jak dziś rzeczy stoją t. j. gdy główna część wychodźców składa się z jednostek narodowo wcale lub mało uświadomionych — jeden tylko kapłan polski może wśród emigrantów odgrywać rolę łączącego ich węzła, wskazywać im drogę społecznego rozwoju, a temsamem przeciwdziałać germanizacyi. Dodać przytem należy, że z kościelnego punktu widzenia germanizacya w większości wypadków uważana być może za protestantyzacyę lub co najmniej, zupełne zobojętnienie dla katolicyzmu. Mogłoby się zatem zdawać, że już ten wzgląd powinienby władzę duchowną usposobić przychylnie do próśb wychodźców, błagających o kapłanów — rodaków.

Tymczasem stan rzeczy, jaki był przed laty dziesięciu, — trwa i dziś. Próśb nie wysłuchano, władza duchowna tłomaczy się brakiem odpowiednich kapłanów, lub nasyła zniemczonych górnoślązkich księży, którzy łamaną polszczyzną wygłaszają kazania. Postawiwszy kwestyę jasno, stwierdzić należy, że względy politycznej natury decydują o takiem postępowaniu księdza arcybiskupa Koppa. I do niego zupełnie zastosować by można to, co swego czasu powiedział arcybiskup koloński, ks. Simar, gdy mu przedkładano petycyę tysięcy westfalskich Polaków: Im prędzej się zniemczą, tem lepiej będzie i dla nich samych i dla kościoła — bo będą bliższe ich stosunki z katolikami Niemcami i bliższem urzeczywistnienia będzie ewangeliczne słowo o jednym pasterzu i jednem stadzie. Duchowieństwo niemieckie radeby widzieć jaknajprędzej ostateczną asymilacyę wychodźców polskich z Niemcami-katolikami i wie, że działalność polskich kapłanów ten proces asymilacyi by utrudniła.

Bezpośredni zarząd berlińskiem duszpasterstwem spoczywa w rękach „delegata arcybiskupiego“. Przed paru laty był takim delegatem ks. Jahnel, kapłan, jak się zdaje, osobiście przychylny Polakom, lecz widocznie związany poleceniami swej władzy zwierzchniczej. Po śmierci Jahnela opróżnione miejsce zajął ks. Neuber, a jeśli pierwszy rozżalone serca polskie koił i łagodził obietnicami, delikatnem i życzliwem obejściem się, to drugi nie tai się nawet z tem, jak mu nie na rękę te ciągłe żądania Polaków, domagających się kapłanów rodaków.

Wobec wychodźców naszych w Berlinie kościół stał się *posterunkiem germanizacyi*. Z tego posterunku zazwyczaj dyskretnie zamaskowane, nie rzadko jednak otwarte idą ataki na polski charakter wychodźców naszych. Dla charakterystyki położenia, mianowicie tych otwartych ataków, które są bardzo znamiennym znakiem czasu, wspomnieć tu warto o proboszczu z Hoppengarten (pod Berlinem) który co dwa tygodnie odprawia nabożeństwo w licznej kolonii polskiej w Kalkberge-Rüdersdorf, gdzie w kopalniach i fabrykach cementu pracuje przeszło 1000 Polaków. Niemców-katolików jest zaledwie kilku, którzy zatrudnieni są w biurach. W Kalkberge-Rüdersdorf istnieje polskie towarzystwo, które w styczności pozostaje z berlińskiemi towarzystwami polskiemi. To towarzystwo było oddawna solą w oku proboszczowi, któryby chciał, aby w jego parafii był jeden pasterz i jedno stado — niemieckie. Przybywszy też (w sierpniu) na zebranie tego towarzystwa zawezwał członków, aby je rozwiązali, ponieważ on chce założyć towarzystwo *katolickie*, w któremby miejscowi Niemcy katolicy mogli być członkami, a język niemiecki byłby urzędowym. Kto żyje w Niemczech, mówił ks. proboszcz (podług tekstu, ogłoszonego później w „Dz. Berl.“) — ten powinien być dobrym Niemcem i porzucić marzenia o kraju. Sam jestem Niemcem, choć przecież z polskich pochodzę rodziców“. A dalej mówił: „Polska mowa nie ma dziś nigdzie wartości, ma ona tylko wartość taką, jak pieniądz zagraniczny, który się wyda i zmieni i nic po nim nie pozostanie. Mowa polska jest dziś całkiem nie potrzebna i on jako kapłan do polskości palca nie przyłoży, bo on jest Niemcem. Dzieci też ludzie mają po niemiecku chować, bo polska mowa im się na nic nie zda. —“

Powyższy przykład mógłby w zupełności wystarczyć, aby dać pojęcie o germanizatorskiej jawnej robocie niektórych księży. Inni innej, łagodniejszej używają metody.

Taki ksiądz Stephan z Weissensee (przedmieście Berlina), który w swej parafii ma bodajże więcej Polaków, niż Niemców, najpierw dwa lata zbierał zapomocą odezw i ogłoszeń składki w polskich prowincyach na kościół, a potem całe Księstwo, nietylko swą parafię formalnie zarzucił niemieckiemi książkami do nabożeństwa, które — aby tem łatwiej trafić mogły do Polaków, zaopatrzył w ponad wszelki wyraz liche tłomaczenie polskie.

W samym Berlinie księża nie okazują tyle jawnej niechęci do narodowości polskiej, ile jej okazał taki np. proboszcz podmiejski w Kalkberge. Na przedmieściu, gdzie mieszka ludność uboższa, przeważnie robotnicza, ksiądz dla prostego chłopka Polaka zupełnie jest inną powagą, niż dla wychodźców w samym Berlinie. Tam księdzu na propozycyę rozwiązania towarzystwa „ponieważ nie on je założył‘ odpowiedzianoby bezwątpienia: właśnie dlatego go rozwiązywać nie będzie, bo nie on je założył. W samym Berlinie zato jest inny sposób napędzania Polaków w germanizacyjne sidła: jest to zachęcanie do wstępowania do towarzystw niemiecko-katolickich. Towarzystwa te znajdują się zazwyczaj pod osobistem kierownictwem niemieckich księży miejscowych, a duchowna szata przewodniczącego silnym urokiem jest dla prostego pobożnego emigranta, przyzwyczajonego, że u stołu prezydyalnego i w kraju zasiadał ksiądz proboszcz. Tam go przyjmują wszyscy po bratersku, utwierdzają w przekonaniu, że pierwszym (i ostatnim) obowiązkiem Polaka na obczyźnie jest zachować wiarę — a w rezultacie setki całe Polaków należą do tych towarzystw, w których wprawdzie nikt na narodowość ich nie nastaje, ale w których niezmiernie szybko i „bez bólu“ się niemczą, pozostając dobrymi katolikami i przyjaciołmi Polaków.

Ten pierwszy rodzaj germanizacyi wywołuje nieraz żywe protesty, drugi — prawdopodobnie o wiele niebezpieczniejszy — żadnych nie wywołuje: bo i jakżeż te wyrzuty robić tym organizacyom katolickim, które gościnnie przyjmują wychodźców polskich do swego grona, chronią ich od niejednego niebezpieczeństwa, otaczają opieką w razie choroby, zaspakajają potrzebę religijności, tak silnie rozwiniętą u polskiego prostego ludu. A jednak fakt pozostaje faktem: pod opieką kapłanów-Polaków ci ludzie by się nie niemczyli, a co ważniejsza i ich dzieci zachowałyby narodowość swych ojców. *K.*



Na rocznicę 29-go Listopada 1830 r.

Na cmentarzu dzisiaj tłumno...
Wielki pogrzeb, — trumnę niosą;
W krzyż na trumnie pika z kosą,
Pop brodaty, czerń za trumną.

W trumnie Olbrzym; — chciwość, zdrada,
Przemoc, życie mu wydarły;
Czerń go zbrojna w grobie składa:
Bo jej straszny ten umarły,
Co krwią znaczył swoje ślady,
Nim mu zwarła śmierć powieki.
— Wiecie kto ten Olbrzym blady,
Złożon w trumnę jak na wieki?

Ach, to Naród wielki, dzielny,
Naród polski — zgnębion losy;
Ten to starzec srebrnowłosy,
W samej śmierci nieśmiertelny!

Wieniec z cierni mu w bladawe —
W bohaterskie wbił się skronie;
Ręce w krzyż zatopił w łonie
Tam, gdzie rany ciężkie, krwawe.

Świat spogląda nań boleśnie —
I na zimny grób otwarty;
Starzec leży jakby we śnie,
Bo wielkości ślad nie starty.

Puzan żalem nie zawodzi;
Pogrzebowe milczą pienia;
A brodady pop dowodzi —
Że „co prochem — w proch się zmienia.“

Już obsypał prochem zwłoki;
Już się trumna w ziemię spuszcza;
Już ją połknął grób głęboki...
„Amen!“ woła pop i tłuszcza.

W tem się wznosi postać blada:
W ręku wagi, w biel odziana;
Czerń przelękła gnie kolana,
Woła: „Sprawiedliwość! — biada!“

Tak, to ona! — staje w kole,
Jak wysłany Prawdy goniec;
By położyć kres niewoli,
I męczeństwu zrobić koniec;

Tym kajdanom w kość wrośniętym;
Piętnowaniu w Sybir słanych;
Do podziemnych prac skazanych;
Łzom do lica przymarzniętym;

Wydzieraniu matkom dziatek —
By zaludniać step, pustynie;
I zatrzymać krwi ostatek,
Co z narodu serca płynie.

I podniósłszy czoło dumne,
Groźnym okiem tłum przeszywa;
I wskazując w grób, na trumnę,
Głosem gromu się odzywa:

„*Jak męczeństwo Apostolskie*
„*Świat do zbawczej wiodło wiary:*
„*Tak do bytu wiodą Polskę*
„*Jej męczeństwa, jej ofiary!*

„*I jak Chrystus ożył w grobie,*
„*Żeby śmierć nie miała mocy:*
„*Tak chorągiew Wielkiej nocy,*
„*I ten trup zdobędzie sobie!*

Rzekła, — i patrz! — Starzec w grobie
Wzniósł się, stanął, — już Młodzieniec...
Cierń zamienił w lauru wieniec
I na skroń go włożył sobie.

Włożył: *pracy wytrwałością,*
Kraj z upadku podnoszącą;
Siłą ducha i jednością
I miłością dłań gorącą!

Więc młodzieży! — niech to słowo
Wciąż ci w duszy, w sercu tętni!
A zbudujesz Polskę nową,
Znikną dla niej obojętni!

A my, bracia Weterany!
Dziś okryci już siwizną —
I nie jedną chlubną blizną —
Z odebranej w bojach rany:

Chwyćmy w niegdyś dłoń orężną,
Dziś już drżącą od starości:
Puhar, na Polskę w przyszłości —
Pracą i duchem potężną!

Nim to nastąpi — zmówmy:
. . . .
„Anioł Pański!“ za tych braci,
Którzy legli w boju krwawym...
Niech tym Polski synom prawym,
Bóg zbawieniem krew zapłaci!

Mikołaj Bołoz Antoniewicz.



Rocznica listopadowa.

ODCZYT

przygotowany przez **Stefana Barszczewskiego**
dla Towarzystw Polskich,
które pamiątkę walki tej o niepodległość uroczyście chcą obchodzić.

— I oto znów zebraliśmy się tutaj, by święcić rocznicę wiekopomnej nocy listopada, w której garstka młodzieży, gorąco miłującej Ojczyznę, rzuciła rękawicę wrogowi, wydała hasło do boju świętego o nieprzedawnione prawa nasze, do boju o wolność Ojczyzny!

Coraz więcej lat dzieli nas od tej wielkiej chwili. Uczestnicy jej pokładli się już w grobach, gdzieniegdzie tylko na krańcach świata drzemie jeszcze może siwowłosy staruszek i marzy o tych bojach, w których, jak mówi poeta

. . . . nie piórem, lecz ostrzem ze stali
Przodkowie wnukom ten rozkaz pisali,
Co w szumie olszyn, godnych być wawrzynem,
Brzmi tajemniczo: Walcz *usque ad finem!*

Dawno minione to chwile, a jednak wspomnienia ich tak żywo tkwią w naszej pamięci, taką czcią otoczone są przez cały naród polski, że gdziekolwiek polskie serce osiadło, tam wieczór ten jest obchodzony uroczyście.

Zajrzyjmy do jakiejkolwiek krainy kuli ziemskiej: bądź to do skwarnych pustyń afrykańskich, bądź to do śnieżnych równin Laplandii, bądź do przemysłowych miast Stanów Zjednoczonych lub wreszcie do sennych miast i osad Brazylii, a wszędzie znajdziemy rodaka. Gdziekolwiek z piersi wyrwie się nam pełna nadziei pieśń nasza: — Jeszcze Polska nie zginęła! — tam echo nie gór i lasów, ale drugiej piersi ludzkiej, piersi polskiej, powtórzy głośno: . . . . jeszcze nie zginęła! i wyciągną się prawice tułaczów i w uścisku braterskim popłyną w niebo słowa prośby o wolność i niepodległość dla tej Polski tak ukochanej.

Nawet ci, dla których ziemia polska nie matką, lecz macochą była, nawet ci, którzy tam głód i nędzę cierpieli, wyzyskiwani i pogardzani przez możnych; nawet ci, otrząsnąwszy się na obczyźnie z biedy, zaspokoiwszy głód, co im wnętrzności targał, zapominają o przeniesionych cierpieniach i klęcząc przed ołtarzami zanoszą błaganie:
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!

Zkąd płynie ta wielka, nieziemska prawie miłość dla tej odległej, czasem nawet nieznanej Ojczyzny?

Czy z tradycyi dobrobytu i szczęścia? Nie, bo od trzechset lat ani dobrobytu, ani szczęścia lud w Polsce nie posiadał!

Czy z tradycyi wiekopomnych, świat olśniewających tryumfów oręża polskiego? Także nie, bo od czasu pogromu Turków przez Jana Sobieskiego pod Wiedniem, nie przekraczaliśmy uszczuplonych granic naszego kraju, by nieść sławę oręża polskiego za morza jak Stefan Czarnecki, chyba tylko tworząc legiony pod cudzem dowództwem.

Zkąd więc ta miłość? Oto wyrosła ona w dniu, w którym Tadeusz Kościuszko zamienił kontusz na sukmanę i powołał chłopa polskiego do obrony Ojczyzny; spotęgowała się zaś owa miłość Ojczyzny w tej wielkiej nocy listopada, gdy młodzież polska

dłonią nowoczesnej Sparty
Podniosła sztandar zbrodniczo rozdarty,
Krwią na nim znacząc wzniosłe hasło lasze:
Za moją wolność i swobody Wasze!

Tak, bo ta młodzież tchnąca miłością Ojczyzny i miłością wolności, nietylko, że pragnęła uwolnić Polskę z niewoli, ale także wyswobodzić z pod carskiego knuta lud rosyjski. Niestety, lud ten wyrosły od wieków w despotyzmie hanów tatarskich i carów moskiewskich, tak przywykł do jarzma, że dziś nawet jeszcze, gdy cała Europa drży od prądów wolności, które ją nurtują, dziś jeszcze — powtarzam — lud ten bije dobrowolnie pokłony przed białym swym carem, a wolność nazywa: zgnilizną zachodu!

Czy mógł więc ten lud zrozumieć przed pół wiekiem zamiary naszej młodzieży i poprzeć ją należycie?

Co jednak mówić o tym narodzie niewolniczym, gdy nawet pośród nas samych znaleźli się ludzie, którzy na wieść o tem, że Warszawa powstaje, że 18 młodzieńców napadło na pałac Belwederski i omal że nie wzięło do niewoli Wielkiego księcia Konstantego — nazwali to szaleństwem, głupstwem, występkiem i nie chcieli wziąść udziału w powstaniu, twierdząc, że jest ono zbrodnią, prowadzącą do zguby. Takimi duchami niewoli byli jenerałowie: Potocki, Hauke, Blum, Mieciszewski, Nowicki i Trębicki, którzy za to zginęli wszyscy z rąk roznamiętnionych żądzą zemsty: młodzieży polskiej i wojska polskiego. Takim był po części słynny jenerał Chłopicki, gdy później już — gdy działania wojenne zostały rozpoczęte — rzekł do studentów, którzy przyśli prosić go o broń: Dla was nie mam ani jednej skałki! (Wówczas bowiem używano do strzelb krzemieni zwanych skałkami, dla wywołania przy uderzeniu kurka iskry, zapalającej proch). I wielu jeszcze innych dowódców naszych i ludzi pod innemi względami bez skazy, tak się obawiało wystąpić otwarcie przeciwko carowi Mikołajowi i namiestnikowi jego, księciu Konstantemu, tak się wahało wystąpić energicznie i stanowczo, że pomimo świetnych zwycięstw, jakie odnieśliśmy w tej wojnie, pobić ostatecznie wroga nie byliśmy w stanie i po rocznej blisko walce musieliśmy broń złożyć! A czy wiecie, rodacy, ilu naszych wtedy jeszcze było? Oto w chwili, gdy jenerał Ramorino oddawał swój korpus Austryakowi, a Giełgud i Rybiński ze swemi korpusami do

Prus wkraczali, wojsko polskie liczyło jeszcze przeszło 70 tysięcy żołnierza. Moskale zaś nie mieli więcej nad sto tysięcy swoich w granicach Królestwa Polskiego, mogliśmy więc walczyć jeszcze, a może nawet i zwyciężyć, bo 70 tysięcy Polaków, dążących do odzyskania Ojczyzny dałoby sobie radę nie ze stoma, ale z dwoma stami tysięcy żołdactwa moskiewskiego. Ale cóż z tego. Brak nam było wodzów takich, jak Czarnecki i Kościuszko, którzy nietylko, że umieli bitwy wygrywać, ale także mieli wiarę w swoje siły i umieli natchnąć żołnierza zaufaniem.

Pomimo to wszystko jednak wojna ta jest dla nas pamiętną, epokową i chlubną, bo, jak wspomniałem poprzednio, spotęgowała ogromnie miłość dla Ojczyzny, co się potem tak pięknie odbiło w znanej pieśni:

Polak nie sługa, nie zna co to pany,
Nie da przemocą okuć się w kajdany,

a przytem jeszcze wykazała, jakim chłop polski jest dzielnym żołnierzem, jaki to twardy orzech do zgryzienia dla wroga.

Zwycięzkie nasze bitwy pod Wawrem, Iganiami, Dębem Wielkim, Grochowem, Stoczkiem i setki pomniejszych potyczek, a nawet przegrana przez nas wielka bitwa pod Ostrołęką, są czynami tak pięknemi, tak pełnemi bohaterstwa, że czytając opisy ich, dumnym się człowiek staje, że jest Polakiem.

Czy nie piękną nap. jest obrona Olszynki pod Grochowem przez pułk czwarty liniowej piechoty polskiej? Wielkopolanin Stefan Garczyński, jeden z najznakomitszych naszych poetów, tak ją opisuje:

Strzelajcie napastnicy, nam w naszej obronie
Zimny proch posłuszniejszy, oko lepiej świeci,
Bo my proch ojców wnieśli na obronę dzieci,
Mąż umrzeć lub zwyciężyć na krzyż przysiągł żonie.
. . . .
Bagnet sparł się z bagnetem, aż w piersiach przepada;
Gromada jedna padła; znów druga gromada —
Ten cara przeklinając — coś o dzieciach gada
I umiera — ten skonał — ów się już nie zbudzi,
Ile drzew, tyle przy nich konających ludzi,
A trupy leżą w śniegu, jako gad przy gadzie
W naczyniu mleka pełnem — nakoniec w nieładzie
Reszta pierzcha gwałtownie — ściskają ich nasi,
O zagnali daleko!.....

A czy może być czyn więcej bohaterski od czynu porucznika Ordona, który podczas oblężenia Warszawy mając powierzoną sobie obronę reduty, to jest małego fortu, pod wsią Wolą, wolał wysadzić siebie i cały fort w powietrze, niż poddać się Moskalom. O tej to reducie wieszcz nasz, Adam Mickiewicz, napisał wiersz przepiękny, z którego przytaczamy tu wyjątek:

......Jak sępy
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy,
Przeciw nim sterczy biała, wąska zaostrzona,
Jak głaz bodzący w morze, reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą!
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą,
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy...
. . . .
Tam kula, zdala lecąc, grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje;
Już dopadła, jako wąż wśród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słychać po dźwięku,
Po walących się trupach, po ranionych jęku,
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci!
Gdzież jest pan, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy sam pierś nadstawia?
Nie! On siedzi o dwieście mil na swej stolicy,
Car wielki, samowładzca świata połowicy.
Zmarszczył brwi i tysiąc kibitek w świat leci,
Podpisał — tysiąc matek opłakuje dzieci,
Dał znak — spadają knuty od Niemna do Chiwy!
Mocarzu, jak Bóg, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże,
Jedna Warszawa twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy,
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasylowy!

Cóż mówić o jenerale Sowińskim, który w kościołku na Woli, na stopniach ołtarza oddaje życie za Ojczyznę, a o którym sędziwy już podówczas poeta, Julian Niemcewicz, przyjaciel Kościuszki, tak śpiewa:

Bronią się rycerze śmieli,
Lecz co chwila ich nie staje;
Wreszcie wszyscy wyginęli —
I Sowiński sam zostaje.

Sam zostaje nieugięty
Przed przemocą się nie zniża,
Poszanowaniem przejęty
Dowódzca wrogów się zbliża.

„Krzycz pardon!" zdala go wzywa,
„Szaleństwem jest śmiałość taka"
Sowiński pierś mu przeszywa —
„Oto jest pardon Polaka."

Te były słowa ostatnie
Zsiwiałego bohatera —
Zginął za swobody bratnie:
Tak syn wolności umiera!

A któż z was nie zna owej pieśni, która zdaje się być wykutą ze stali i dźwięczeć jak stalowe miecze podczas boju, któż z was nie zna pieśni o zwycięstwie jenerała Dwernickiego pod Stoczkiem?

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty,
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala nas wiedzie!

Hej, za lance chłopacy!
Czego będziem tu stali?
Tam się biją rodacy,
A myż będziem patrzali?

Setki takich pieśni i poematów wydała owa wojna pamiętna. Po niej to następuje najwyższy rozkwit poezyi polskiej. Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Goszczyński, Garczyński, Zaleski, a za nimi cały szereg innych poetów polskich staje u szczytu sławy, wypuszcza w świat najpiękniejsze klejnoty literatury polskiej. Miłość Ojczyzny, miłość spotęgowana i rozogniona tą walką bohaterską, a pełna goryczy z powodu tych wodzów, którzy przymuszeni przez naród, walczyli z carem tylko dla zadosyćuczynienia honorowi wojskowemu, ale nie wierzyli w możność wyrzucenia wrogów z kraju — miłość ta jest najpiękniejszą, największą spuścizną powstania listopadowego. Pod jej to wpływem w trzydzieści lat później zrywamy się raz jeszcze do boju z wrogiem. I tym razem zostajemy zgnieceni, ale nie wytępieni, bo oto i nadal pod wpływem tej gorącej miłości Ojczyzny pracujemy, choć na innem polu. W Polsce powstaje prąd dążący do oświecenia i uświadomienia mas ludowych. Zakładają się towarzystwa oświaty i czytelnie, a z uśpienia lud się budzi.... W Ameryce, ta miłość i tęsknota do ojczystego kraju stwarzają wielkie organizacye polskie, pod których skrzydłami i tutaj oświata oraz wspaniała idea sokolstwa polskiego, zaczynają zapuszczać trwałe korzenie.

Owa pamiętna noc listopada stanowi także dla nas głęboką naukę i przykład postępowania w dalszym rozwoju naszej sprawy narodowej jeżeli zważymy, że to powstanie przeciwko wrogom rozpoczęte przez młodzież pełną wiary w świętość sprawy narodowej, upadło jedynie przez brak wiary u wodzów. Czyż nie powinniśmy ciągle pamiętać o tem, czy nie jest naszym obowiązkiem starać się całemi siłami o to, by na czele czy to naszych wielkich organizacyi, czy też nawet skromnych grup i towarzystw, stawali ludzie głęboko wierzący w świętość i powodzenie naszej sprawy polskiej.

Pamiętajmy o tem, rodacy, że bez wiary szczerej i gorącej w słuszność żądań naszych, bez wewnętrznego przekonania o ogromie krzywd wyrządzonych nam przez wrogów, na nic się nie zda zapał.

Jeżeli natomiast z prawdziwą wiarą w sercu dążyć będziemy uporczywie, wytrwale, do raz obranego celu, to Polska powstać musi, jak feniks z popiołów!

Nie wątpmy więc, idźmy wytrwale naprzód, a

Pracą, jednością,
Bratnią miłością
Zadziwim kiedyś hen cały świat!
Siłą potężni,
Dźwigniem się mężni
I wrócim Ojczyźnie blask dawnych lat!



Urywek. —

Młodości moja! ty prowadź
W twardy mnie bój,
Wiaro młodzieńcza, daj siły
Sztandar wznieść swój,
Myśl moja krzepka niech zbudzi
Z rajskich się snów,

Serce gorące niech zadrgnie
Miłością znów:
Prawdy miłością i wiary
W promienny świt
Co wolnym błyśnie narodom
W ich wolny byt!
Sięgnijmy hardą prawicą
Po światła zdrój,
By szczęście na ludzkość ściągnąć
I naród swój.
Więc w górę dziś młode czoło,
Myśl w górę nieś,
Rozległe przed tobą koło,
Daleki kres!

Ski...



Ku uczczeniu dzielnego szermierza,
seniora obywatelstwa Czarnkowskiego,
żyjącego nam

Leopolda Paliszewskiego

w Gębicach,
weterana z roku 1831.

Czarnków, 26. XI. 1900.

Do Szanownej Redakcyi „Pracy“
w Poznaniu.

Zbliża się 29-ty Listopad, pamiątka dla nas tak miła i uroczysta. Mało już jest tych bohaterów, którzy brali udział w tej walce tak nieszczęśliwej, a jednak pełnej chwały. My w Czarnkowskim powiecie mamy ten zaszczyt posiadania jednego z tych weteranów, który od pierwszej chwili, od dnia 29-go Listopada 1830 roku w walce brał udział. Jest nim powszechnie szanowany i kochany nasz senior obywatelstwa Czarnkowskiego, pan Leopold Paliszewski, żyjący dotąd w Gębicach, majątku najstarszego syna Władysława. Senior nasz, jeszcze bardzo rześki na umyśle, chętnie opowiada epizody z pełnej chwały kampanii, jak walczył pod generałem Dembińskim w wyprawie na Litwę. Pod Miszkuciami 10-go Lipca był ranny w obojczyk kulą karabinową. Pomimo ciężkich cierpień podążał nasz naówczas młody porucznik, w powozie pożyczonym za armią, by tylko ujść niewoli. Rana tak się szczęśliwie i prędko goiła, że już przy wejściu generała Dembińskiego do Warszawy, mógł pan Leopold Paliszewski maszerować na czele swej kompanii. Następnie odkomenderowany był do Modlina, gdzie do ostatniej chwili, w czynnej był służbie. Najstarszy syn, pan Władysław, corocznie sprasza wszystkich dobrze seniorowi życzących, do Gębic, a dawniej do Hutki, i 29 listopad bywa corocznie z wielką uroczystością obchodzony. Niestety w tym roku zabraknie przy biesiadzie kochanego naszego Wincentego Wawrowskiego ze Sławna, który roku zeszłego, tak piękną, do serca przemawiającą mową, seniora naszego uczcił. Chociaż przy stole biesiadnym udziału mieć nie będziemy, życzymy kochanemu naszemu weteranowi, jak najdłuższego życia, i jak najlepszego zdrowia. Niech nam żyje jak najdłużej w otoczeniu kochającej i troskliwej rodziny, wśród synów, córek i wnuków!!!

Stały czytelnik i wielbiciel „Pracy“
W.

Do powyższych słów niech i nam wolno będzie w imieniu wszystkich Czytelników naszych dorzucić garść życzeń najserdeczniejszych, a mianowicie, by bohater z pod Miszkuć, nasz zacny i przez wszystkich całem sercem ukochany, p. Leopold Paliszewski, żył jeszcze długie lata w nieprzerwanem zdrowiu i by się doczekał zwycięstwa sprawy, za którą niezawahał się przelać własną krew serdeczną. Raz jeszcze więc i to po trzykroć: Pan Leopold Paliszewski niech żyje!.,

Redakcya „Pracy“.



Listopad.

(Leopoldowi Paliszewskiemu,
weteranowi z roku 1831.)

Tak się chłodno jakoś robi
na szerokim świecie,
wiatr jesienny w tan wirowy
zżółkłe liście miecie,
białym szronem zaścielają
rankiem się zagony
i nad nimi pieśń żałobną
kraczą kruki, wrony.

Żer bo czują, żer obfity
z ludzkich ciał na szlaku,
kędy krzyże i kurhany
przy samotnym krzaku,
kędy Wisła mętne fale
do Bałtyku pędzi,
kędy białe orły gnieżdżą
na skalnej krawędzi.

Tam wre życie — młódź serdeczna
rwie się do oręża,
w słońcu stal się złotem błyszczy,
koń swój kark wypręża;
z wszystkich oczu ogień bije,
ogień niezagasły
i tak silny, że od niego
wraże więzy trzasły.

A na ustach pieśń wesoła
w takcie brzmi mazura,
echem las ją ciemny niesie
aż do Karpat wzgórza:
***Paliszewski** — wojak dzielny,*
żołnierz niezmęczony
i nasz orzeł znów poleci
nad wolne zagony!

I ruszyli. A że w sercu
mieli ojców męztwo,
nad Azyatów dziką hordą
odnieśli zwycięztwo,
I w krwi wroga się nurzyły
pałasze i kosy,
i śmierć żniwo miała dobre —
same z ludzi kłosy...

Nie ziściły się marzenia;
orzeł znów w kajdanach!
Zaciężyła przemoc obca
na lechickich łanach!
Kruk wykrakał nam żałobę,
płacz nad krajem leci;
Wisła, co od Pragi płynie,
Falą krwi się świeci...

Szersz.



„Z ROCZNIC NARODOWYCH.“[1])

Ostatnie błyski...

W 45-tą rocznicę
śmierci Adama Mickiewicza.

...Zaciemniona przebłyskami mesyanizmu Towiańskiego i tylu nieszczęściami, twórczość Wieszcza zanikała. Zamiar pisania dalszego ciągu „Pana Tadeusza“ spełzł; — dopiero tę ciemność przeszyła groźnemi błyskawicami wojna krymska r. 1854. Budziła nowe nadzieje, plany nowe na jej tle snuto. I Mickiewicz się ożywił — w maju t. r. napisał notę o położeniu Rygi, jako podstawy działań wojennych na brzegach Bałtyckiego morza. A gdy zajęto na wyspach Alandzkich twierdzę Bomarsund, Adam wyśpiewał ostatni swój utwór poetycki.[2])

Wojna krymska, skoncentrowanych mocarstw zwycięztwa otrząsły z zadumy Adama. On, który zawsze szukał dogodnych dla Polski chwil, by je wyzyskać — wypracował i wtedy memoryał o utworzeniu legionu polskiego, któryby z Moskwą walczył, i sam chciał zamiar doprowadzić do skutku. Powziął zatem zamiar udać się na wschód i w tym celu prosił rządu francuskiego o zasiłek.

9 września grono Polaków żegnało odjeżdżających: Adama Mickiewicza i księcia Władysława Czartoryskiego — odjeżdżających na wschód. W hotelu Lambert do obiadu pożegnalnego, danego przez księcia Adama Czartoryskiego, zasiadło trzech Adamów: Adam Mickiewicz, ks. Adam Czartoryski i Adam hr. Zamoyski, przybyły z Galicyi. Nazajutrz załatwił swe sprawy co do pensyi[3]) i zasiłku, polecił pannie Szymanowskiej, ile ma dawać dzieciom na wydatki kieszonkowe. Aleksandrowi i Jasiowi po 3 sous, Helence 10 sous, Maryni 5 franków tygodniowo. Pożegnał się jeszcze z panią Rossignol i rozmawiał z nią długo o rozterkach domowych. W dzień 11-go września zebrało się 25 osób w południe

[1]) Patrz numer 32 „Pracy“ z 1900. „Za wolność naszą i waszą.“ Str. 823—825. Przyp. Aut.

[2]) Była to łacińska oda do Napoleona III. — polskie tłom. „Do Napoleona III“ W. Baworowskiego. Druk J. Pawłowski, Tarnopol 1863. (Przyp. Aut.)

[3]) Był bibliotekarzem w arsenale z płacą 2000 franków. (Przyp. Aut.)

w Maison de la Tour d'argent na śniadaniu pożegnalnem. Gospodarza księcia Adama Czartoryskiego zastępował Morawski. Był to ostatni dzień, przepędzony przez Mickiewicza w Paryżu.

Wieczor... Dworzec de Lyon w Paryżu.

Wielu Polaków, zebranych na dworcu, żegna Adama. Jakiś niepokój tli się w duszach zgromadzonych.

Ostatnie pożegnania, ostatnie uściśnienia dłoni...

Pociąg ruszył...

Z wozu powiewa bujnym włosem okraszona głowa Adama i biała, ruszająca się chusta...

Znikło wszystko...

. . . .

Z początkiem października 1855 r., już na ziemi Turków, udał się do Burgas, gdzie się formowały pułki ottomańskich kozaków pod Michałem Czaykowskim. Żył tu trybem wojskowym, który bardzo polubił, i roił o utworzeniu legionu z Izraelitów.

Niebawem wrócił do Konstantynopola. Początkowo znalazł mieszkanie w dzielnicy Galata, w celi klasztoru Lazarystów; tu, odwiedzany przez znajomych i przyjaciół, śnił dalej tkankę rojeń o legionach. Ponieważ pomieszkanie w klasztorze nie było zdrowe, zatem przeniósł się Adam na przedmieście Pera do zamku z widokiem na fale Bosforu. Gości przyjmował mniej, starał się natomiast poznać Konstantynopol, tak w całej swej okazałości, jak całej swej nędzy. Szczególnie badał zaułki, które drgały na strunach jego pamięci i budziły wspomnienia miasteczek litewskich. Jakie to były, to chyba sam Mickiewicz nam najdosadniej kreśli: „Proszę sobie wyobrazić — pisze w liście do pani Clustine — plac publiczny, pokryty warstwą gnoju i pierza, po którym się najspokojniej przechadzały kury, indyki i wszelkiego rodzaju zwierzęta.“ Wobec tego „wydostawszy się na Bosfor, bierze się łódkę, a ponieważ te osoby, które odwiedzamy, mieszkają na wybrzeżu, wycieczki te nie mają nic przyjemnego.“

W drugiej połowie października zasłabł, a ks. Adamowi Czartoryskiemu pisał, „że słabość zdrowia zatrzymuje go dotąd w domu.“ Służalski doniósł zaś rodzinie, że Adam osłabiony nieco jest atakiem choroby. W listopadzie wyszukał znów Henryk Służalski inne mieszkanie na poblizkiej Pery uliczce. Mieszkanie było wilgotne i niezdrowe, nalegano więc na Adama, by je opuścił i on sam wyrażał się, że tam długo mieszkać nie będą.

I rzeczywiście, długo nie mieszkali, bo niebawem Adam znalazł sobie lepsze schronisko, gdzie go nie dochodziły ni jęki nędzarzy, ni szczęśliwców krzyki — trumnę.

Mickiewicza napadała zwykła boleść, zgryziony był moralnie różnemi waśniami. „Obchodzono się z nim — mówi Lévy — bez szczerości. Najbardziej dolegało intrygowanie.“

Szybko, nieuchwytnie płynął czas. Mickiewicz zajęty był legionami, nie zaniedbywał zaś nauki języka tureckiego. Jak gasnąca świeca to się rozjaśni, to bledniej, tak i Mickiewicz to opadał ze sił, to czuł się zdrowszym.

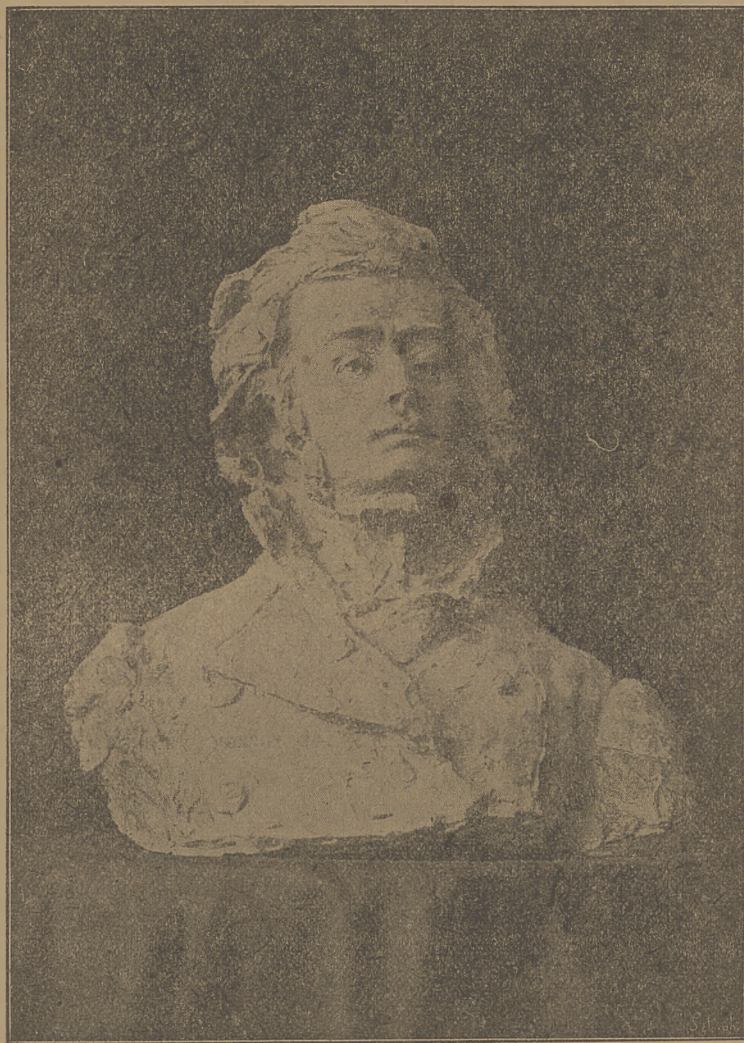
„W niedzielę, 25 listopada otrzymałem — są słowa Lévy'ego do Mickiewicza Władysława — twój list. Ojciec twój zjadł obiad ze smakiem: pieczone kurczę i pół butelki Bordeaux i dobry okazywał apetyt. Pracował potem pewien czas nad językiem tureckim. O dziesiątej poszedłem mu powiedzieć dobranoc. Potem przyszedł jeszcze do mnie, by przynieść mi, jak codziennie na noc, drugie futro. Czułem się sam bardzo cierpiący. Koło północy wstał twój ojciec, by napić się herbaty. Postrzegłem to, ale byłem tak przygnębiony, że odwróciłem się tylko na drugi bok, nie pomyślawszy nawet przyjść mu z pomocą.

Bordeaux. Podczas nieobecności Henryka, Adam zemdlał. Osłabnął, czuł kurcze żołądkowe, ale mówił, „że to przejdzie.“

Skoczono po lekarza, nadszedł Gembicki. Nim przyniesiono krople, zapisane przez doktora, Adam zachrypł i rozmawiał po cichu. Po pierwszej łyżeczce się chciał zdrzemnąć, a gdy się oddalili doktorzy, rzekł do Lévy'ego:

— Nie wiedzą, co mi jest; chcą mnie rozgrzać, a ja cały w ogniach.

Chwilę zasnął. Dano mu znowu laudanum. Chory pasował się z kurczami



Adam Mickiewicz.

Dzień 26-ty był ostatnim dniem życia Adama. Wstał z łóżka i czuł mdłości, ale mimo nalegania Henryka, aby się poradzić lekarzy, nie chciał ich i zażądał kawy.

Lévy spał dłużej. Około 9-tej wyszedł z domu, czując się lepiej i niechcąc wstąpił do doktora Drozdowskiego, który mu opowiadał o szerzącej się cholerze. Załatwiwszy sprawunki, wrócił do domu i udzielał Adamowi posłyszanych wiadomości. Tymczasem nadszedł pułkownik Kuczyński. Adam miał się lepiej, był wesół i dowcipkował.

— Kuczyński, wiesz, żem się zaczął — mówi Mickiewicz — uczyć po turecku. Lękam się tylko, aby się ze mną tak samo nie stało, jak z jednym z królów naszych, o którym kronika mówi, że już nieźle sylabizował, gdy go śmierć zaskoczyła.

Rozmawiał o wojnie i dzieciach. W południe uczuł mdłości, położył się do łóżka. Lévy wyszedł o 2-giej za sprawunkami, a Kuczyński siedział do trzeciej. Mickiewicz niby miał się lepiej i spoczął. O 4-ej pytał Służalskiego o obiad i prosił o flaszkę

niekiedy cierpienia były tak straszne, że Adam w boleści ekstazie wołał:

— Dajcie mi lepiej nóż!

O szóstej nadszedł ks. M. Ławrynowicz, Żmudzin, bardzo przez Adama poważany i Kuczyński. Mickiewicz ich poznał, ale coraz widoczniej tracił świadomość. O tym czasie wyrzekł do Kuczyńskiego w gorączce:

— Kuczyński! Kozacy otomańscy!

Potem poczęto go nacierać, a ksiądz Ławrynowicz na zdanie doktorów udzielił mu ostatniego Namaszczenia. O ósmej rozpoczęła się straszna walka między życiem a śmiercią, a o trzy kwandranse na 9-tą duch, „co ukochał przyszłe i przeszłe pokolenia“, uleciał w niebiosy.

Lévy zamknął Adamowi oczy, a świadkami śmierci byli: Bednarczyk, dr. Drozdowski, Duchiński, Gembicki, Lévy, ks. Ławrynowicz, pułkownik Kuczyński, Narkiewicz, Perkowski, Szóstakowski i Służalski; razem jedenaście osób.

Co do istoty choroby, to Lévy pisze w swym dzienniku po zabalsamowaniu ciała: „Czy to cholera? Kto to może wiedzieć napewno. Nie było śladu szczer-

nienia twarzy, co, jak mówią, bywa w podobnych wypadkach, ani po śmierci, ani przedtem. Żadnej zmiany oddechu nawet podczas konania. Ni śladu rozkładu nawet po upływie 24 godzin. Jeden z lekarzy oświadczył na półtorej godziny przed śmiercią, że niema cholery, inny twierdził do końca, że to nie jest cholera."

Po katastrofie rozeszli się prawie wszyscy, zostali tylko: Kuczyński, Lévy i Henryk. Ksiądz nocował w pokoju Lévy'ego, podczas gdy tamci czuwali przy zmarłym.

Rankiem nazajutrz odportretował Mickiewicza artysta Grandchamp. Zauważono wielkie podobieństwo do Napoleona.

„Przywodzi to na pamięć — mówiąc słowy Lèvy'ego — że twarz Lameunais'ego w chwili śmierci odzwierciadlała twarz Dantego, z którego dziełami nierozłącznie obcował w ostatnich czasach.

Przed południem Drozdowski doniósł poselstwu francuskiemu o śmierci Mickiewicza, a Armand Lévy był na audyencyi u ambasadora Thonvenela.

Wieczorem tego dnia tj. 27-go przyszli Benedyktyńscy uczniowie i zabalsamowali ciało, serce pozostawiono na miejscu. Następnie umarłego ubrano: miał frak, spodnie, kamizelkę czarne, niebieską konfederatkę, futerko zimowe. Lévy uciął końce włosów dla dzieci i przyjaciół; włożył dalej drobiazgi, jak portret matki, list córki i pieniądz otrzymany za młodu od matki.

Twarz zasłano kwiatami, które on tak miłował, lecz które się w ciernie przerodziły, a te zasłaniały ją zupełnie. Do rąk Lévy włożył krzyż, a trumnę wysypano ziołami balsamicznemi.

...Przed domem kilkusetny tłum. Ze Skutari nadciągnął oddział tureckiej piechoty, w żałobie, muzyka z bębnami, osłoniętymi krepą. Karawan zajeżdża.... znajomi wynoszą trumnę ze zwłokami Adama. Kondukt ruszył...

Na dworze mglisto, ponuro, smutnie. Blada mgła przechodzi czasem w deszczyk, który drobnemi, jasnemi kropelkami opłakuje Wieszcza...

W bolesnem, pełnem żalu skupieniu postępują ludzie. A są między nimi i Bułgarzy z Draganem Cankowem i Serbowie i Dalmatyńcy i Czarnogórcy i Albańczycy i Grecy i Włosi i Turcy, no i naturalnie Polacy. Wszyscy zeszli się oddać ostatni hołd Geniuszowi wszechsłowiańskiej Poezyi.

Dosięgnięto góry perockiej, ulicy Pery, gdzie stoi katolicki kościół. Przed nim się zatrzymano i wysłuchano mszy żałobnej. Potem ruszono w dalszą drogę przez Perę, Galatę do Tophané, gdzie czekały statki.

Na okręcie „l'Euphrate" przewieziono zwłoki do Marsylii. Po sprawdzeniu nienaruszenia pieczątek wyjechały do Paryża. Dnia 9-go stycznia 1856 r. o czwartej rano stanęły w Paryżu, a rano złożono trumnę w podziemiach kościoła Św. Magdaleny.

Pogrzeb odbył się 21 stycznia. Nabożeństwo w kościele św. Magdaleny, rozpoczęte o jedenastej, skończyło się o drugiej. „Wielka, skrzyniasta trumna — jak piszą „Wiadomości polskie"[4]) — pokrywająca dwie inne, drewnianą i cynkową, zbyt ciężka do postawienia na katafalku, stała niżej przed nim, również jak on, otoczona rzęsistem światłem. Wszyscy niemal Polacy, znajdujący się podówczas w Paryżu, pospieszyli oddać ostatni zmarłemu hołd."

Zwłoki zostały odprowadzone na cmentarz w Montmorency. Pochowano je równocześnie ze zwłokami małżonki poety, Celiny z Szymanowskich, zmarłej 5-go marca 1855 r.

Nad grobem rzucił parę słów kolega Adama po piórze, Józef Bohdan Zaleski, autor słynnych dumek ukraińskich. Żegnając Go od krewnych, przyjaciół, rodaków, zakończył cytatem z „Pana Tadeusza", parafrazując ostatni wiersz:

„Panno święta, co Jasnej bronisz Często-[chowy
„i w Ostrej świecisz Bramie. Ty, co gród [zamkowy
„nowogródzki ochraniasz z jego wiernym [ludem,
„wywiedź stąd zwłoki Wieszcza tam do [kraju cudem!

. . . .

Cud się spełnił: zwłoki Adama spoczęły przed kilku laty wśród królów; cud drugi się spełnił: księgi Adama dostały się pod strzechy i budzą iskrę miłości Ojczyzny i zagrzewają płomieniami Wiary i Nadziei.

I spełni się cud trzeci: do okna ktoś nam uderzy, da znak wyrażony w „Piosence żołnierza" —

„Wstawaj, pójdźwa ....!

— nadejdzie dzień trzeci, w którym dusza wróci do ciała, a ponad Golgotą męczeństwa Polski — zabłyśnie Anioł Zwycięztwa...

Hieronim Ramer.

W 45 rocznicę śmierci dn. 26. XI. 1900.

[4]) Pismo polskie, wychodzące w tym czasie w Paryżu. (Przyp. Aut.)



Z ojczystych stron.

XXXII.

Międzyrzecz.

„Co to Ojczyzna? to nasze zawody
„I nasze klęski i nasze nadzieje
„To biały gołąb: starzec siwobrody
„Co nam ubiegłe opowiada dzieje!"

Czasu, w którym Międzyrzecz został założonym, dokładnie oznaczyć nie można, przypuszczać jednak należy, że miejscowość ta istniała już za panowania Popiela i Piasta, a zatem w czasach głęboką okrytych pomroką. Oprócz wielu przedhistorycznych wykopalisk, znalezionych w najbliższej blizkości miasta, przemawia wszystko inne za tem, że tutaj od najdawniejszych lat mieszkali ludzie. Niezwykle korzystne położenie, pomiędzy rzekami Obrą i Paklicą, otoczone żyznemi polami, lasami i łąkami, było miejsce to jak stworzone dla osadników, trudniących się rybołóstwem i polowaniem.

Pierwszej historycznej wiadomości o Międzyrzeczu udziela nam biskup Thietmar z Merzeburga, który żył około roku 1000, a który towarzyszył cesarzowi niemieckiemu Henrykowi II. w wyprawie przeciwko Polakom. Pomimo, że biskup ten wspomina tylko o opactwie „Mezirici", to jest przecież pewnem, że oprócz opactwa znajdowały się tu już liczne osady. W r. 1094 wspominają już wszyscy ówczesni historycy polscy o Międzyrzeczu, i to z powodu bohaterskiego czynu młodziutkiego Bolesława Krzywoustego. Marcin Kromer tak o tem pisze: „Gdy się rozeszła w Polsce wiadomość, że gród międzyrzecki napadli Pomorzanie, że zdobyli go, i że ztamtąd wypadają na bezbronnych przejezdnych, łupią ich i mordują, postanowił Władysław Herman wysłać część wojska na ukaranie najezdników. Dowództwo powierzył książe wojewodzie krakowskiemu, Sieciechowi, i już miało wojsko wyruszać, gdy dziewięcioletni wówczas Bolesław rzucił się ojcu do nóg, błagając, aby mu pozwolił iść także na wojnę. Książe wzruszony zgodził się na to, i tak młody Bolesław, walcząc przy boku Sieciecha, zwyciężył zdradzieckich Pomorzan. Pierwszym na murach zdobytej twierdzy był Bolesław."



Ratusz w Międzyrzeczu.

Aż do r. 1162 nie ma żadnych wiadomości o Międzyrzeczu — teraz dopiero przechodzi miasto na własność księcia Konrada Głogowskiego. W 13 stuleciu osiedliło się tutaj wielu Niemców, którymi się głównie opiekował biskup poznański, Bogufał, nie biorąc nawet od nich przez kilka lat dziesięciny. Miasto zwiększało się z każdym rokiem, i otrzymało w r. 1259 wszelkie prawa i przywileje miejskie. Burmistrz był najwyższym urzędnikiem — a ponieważ Międzyrzecz był miastem królewskiem, przeto obywatele jego cieszyli się wielką swobodą i niezależnością i nie potrzebowali wysokich płacić czynszów.

Ale jak z jednej strony korzystne położenie miasta przyczyniało się wielce do rozwoju handlu, tak z drugiej było o tyle nieszczęśliwem, że i ślązcy i brandenburscy sąsiedzi chcieli je posiadać i najeżdżali je nieustannie. Działo się to mianowicie w czasie wojen krzyżackich, kiedy Polacy zwracali całe siły wojenne przeciwko temu wrogowi. Gdy w r. 1269 wybudował margrabia Otto II. brandenburski twierdzę Zielenzik, poznał książe kaliski, Bolesław Pobożny, grożące Międzyrzeczowi niebezpieczeństwo, i założył zaraz wokoło miasta wały i rowy. Ale zanim prace te zostały ukończone, napadł Otto miasto, zrabował je i spalił ze szczętem.

Na początku 14 wieku udało się rzeczywiście Niemcom miasto zabrać. Ale radość ich nie trwała długo, w następnych bowiem latach musieli je oddać Kazimierzowi Wielkiemu. W r. 1385

dała miasto królowa Jadwiga w zastaw Dobrogostowi, biskupowi poznańskiemu. Sto lat później nadał Międzyrzeczowi król Kazimierz Jagiellończyk prawo magdeburskie.

Odtąd wolno było trudnić się mieszczanom handlem (na wieczne czasy) szlachetnych metali, jedwabnych materyi, miejscowego i zagranicznego sukna, wytłaczaniem wina i warzeniem piwa i mogli też mieć rocznie 6 jarmarków. Świecka władza była podzielona na trzy porządki: radni miasta, ławnicy i przysięgli, do których tylko najstarsi należeli obywatele. Aż do końca 16 wieku wybierano co rok 8 radnych, ale ponieważ to wywołało za każdym razem wielkie zamieszanie, przeto wybierano ich później już na „całe życie.“ Ostatnią instancyą był król. Radni miasta oraz inni wyżsi urzędnicy pobierali rocznej pensyi 100 złp. i nie potrzebowali żadnych płacić podatków.

Spokojne zresztą miasto stawało się ofiarą licznych klęsk i nieszczęść, z których pożary w 17 mianowicie wieku, najwięcej je zniszczyły. I tak w r. 1666 spaliły się wszystkie prawie domy, bo oprócz probostwa, kościoła i 16 domów, spłonęło całe miasto. Potem było jeszcze pożarów 15, mniejszych i większych. W r. 1731 zniszczył ogień znowu 200 domów, ewangelicki kościół, szkołę i ratusz. W r. 1710 wybuchła dżuma, zabierając blizko 1000 ofiar. Najgorszą jednak dla miasta klęską były wojny szwedzkie. Nieprzyjaciele nakładali na mieszczan ogromne kontrybucye, a saski pułkownik Milkau zamieszkał tu z swemi dragonami i zabierał obywatelom wszystko, co tylko się zabrać dało. O tym regimencie piszą kronikarze, że „nie byli to ludzie, tylko szatani.“ Karol XII, król szwedzki, był także w mieście, a obywatele musieli wozić za nim piwo i chleb aż do Zbąszynia. W czasie wojny siedmioletniej kazali sobie Moskale wypłacić 80,000 złp. i tak popadało miasto z jednego nieszczęścia w drugie.

Podczas wojen napoleońskich bawił tu przez dłuższy czas Napoleon w przejściu do Rosyi, po ukończeniu zaś nieszczęśliwej tej wyprawy, gdy rozproszone resztki wojska francuzkiego uciekały z Rosyi, był także w Międzyrzeczu wicekról włoski, do końca maja zaś przechodzili tędy nieustannie Moskale, co wcale się nie przyczyniało do pomyślności mieszczan.

Gdy wojny ustały, zakwitło miasto na nowo i to jedynie dzięki sukiennictwu. Przywilej wyrabiania sukna nadany był miastu już w r. 1577. Teraz rzucono się z zapałem do stawiania fabryk i w krótkim czasie zyskało sukno międzyrzeckie taką sławę, że wysyłano je aż do Chin. Mnóstwo innych małych miast dostarczało swe wyroby tudotąd, i dopiero kupcy międzyrzeccy sprzedawali je dalej. Ale ukaz rosyjskiego ministra Cancrina zniweczył wszystko — odtąd bowiem nie było wolno Moskalom kupować towarów za granicą. Próbowano teraz rozwinąć handel futrami i skórami i może byłoby się powiodło, w r. 1824 przecież wybuchnął straszliwy pożar i w przeciągu kilku godzin spaliły się wszystkie prawie domy i kościoły. Przez kilka miesięcy żyło przeszło 100 rodzin z łaski innych miast. Jeszcze większy pożar był w r. 1827. Spaliły się tym razem wszystkie kroniki na ratuszu i sąd, a po tych pożarach taka zapanowała drożyzna, że o mało nie przyszło do rewolucyi w mieście. Miech żyta kosztował wówczas 4 tal. i 17 srbgr.

Z czterech kościołów katolickich został jeden tylko, zbudowany przez Kazimierza Wielkiego. Zaraz po zaprowadzeniu „wyznania augsburskiego“, zabrali sobie lutrzy tę świątynię, ale w r. 1604 musieli ją oddać katolikom. Kościół św. Mikołaja stał obok dzisiejszego szpitala katolickiego i kościołka św. Jana za Obrą. Czwarty kościół należał do OO. Jezuitów, którzy się tutaj osiedlili naprzeciwko zamku nad Paklicą (od r. 1697—1773). W klasztorze wypędzonych zakonników miewali przez długi czas wolnomularze swe zgromadzenia — teraz jednak własny sobie wybudowali dom.

Katolików jest tu obecnie 1565, mieszkańców zaś wogóle 5368, ale pomimo korzystnego położenia, pomimo 5 żwirówek i koleji żelaznej, nie ma tu żadnych fabryk i handel także nie jest rozwiniętym tak, jak by się tego spodziewać należało.

Niedaleko Międzyrzecza, tuż nad granicą brandenburską, leży w uroczej okolicy dawniejsze opactwo Cystersów, Paradyż. Obecnie znajduje się w klasztorze tym seminaryum katolickie dla nauczycieli (od r. 1836). Jest to gmach monumentalny, zbudowany w r. 1234, a najpiękniejszą ozdobę kościoła klasztornego stanowi wielki ołtarz rzeźbiony przez jakiegoś mistrza włoskiego. Obraz, przedstawiający Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny, malował także Włoch. W murach klasztoru ma podobno być ukryty skarb — podczas najazdów nieprzyjacielskich mieli go tam zamurować zakonnicy, ale czy go kto kiedykolwiek znajdzie, tego nie wiadomo.

Kronikarz „Pracy.“





Ostatni dzień wystawy. Widok ogólny, zdjęty z nad brzegu Sekwany.

Ze Lwowa.

(Korespondencya własna „Pracy.“)

Oto w zimnej mogile na cmentarzu łyczakowskim złożono na spoczynek wieczny zwłoki ś. p. Stanisława Schnür-Pepłowskiego, który w ubiegłym tygodniu po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach zmarł w 41 r. życia. Śmierć ta tak niespodziewana, wywarła w całem mieście głębokie wrażenie, gdyż ś. p. zmarły ceniony i kochany był w szerokich sferach stolicy i jako literat i dziennikarz zajmował wybitne stanowisko.

Wszystkim, i starszym od niego służbą dziennikarską, i młodszym, imponował dwoma zwłaszcza rysami swej natury: małomównością, którą pokrywał szczelnem zamknięciem się w sobie samym i olbrzymią pracowitością. W świecie dziennikarskim hałaśliwym, gadatliwym, nerwowym — ś. p. Stanisław uderzał zdala swą posągową powagą, spokojem filozoficznym i jakby nieustanną zadumą.... Na pierwsze wejrzenie wiał od niego chłód i miał opinią człowieka nieprzystępnego. W rze-

czywistości — gdy się rozgadał z kim, co swoją drogą było rzeczą niesłychanie rzadką — okazywał duży zapał i złote serce, czułe na wszelką nędzę. Chętnie zawsze spieszył z pomocą każdemu, kto jej od niego zażądał.

Wybitną cechą jego karyery dziennikarskiej i pisarskiej była pracowitość iście benedyktyńska. Był w stanie nie odkładać pióra przez 8 do 10 godzin dziennie i to przez długie lata. Sumienny, pedantyczny w swej robocie aż do drobiazgowości był wprost nieocenionym współpracownikiem na każdem stanowisku, które zajmował.

Był już lat dziesięć przeszło współpracownikiem „Dziennika polskiego." Uciekłszy od gwaru redakcyjnego zabrał się energicznie do pracy literacko-historycznej i począł zamieszczać po pismach feljetony historyczne, a półki księgarskie poczęły się zapełniać jego dziełami. Szereg ich długi, dorobek jego literacki bardzo znaczny. Oto spis wydanych osobno dzieł: Teatr polski we Lwowie (obszerna historya sceny lwowskiej od r. 1790 do 1890, 2 tomy); Z przeszłości Galicyi (1772 do 1852). U kolebki teatru, Bogusławski we Lwowie, Polacy i Węgry (2 wydania), Obrazy z przeszłości Galicyi i Krakowa, Krwawa karta (dzieje rzezi galicyjskiej w r. 1846), Galicyana (1782 do 1812), Z tajnego archiwum, Wódz legionów. Z papierów po Fredrze (przyczynek do biografii poety) itd. itd.



Stanisław Schnür-Pepłowski.

W ostatnich czasach redagował czasopismo literackie „Iris", które stało głównie jego pracą, zapobiegliwością i... ofiarnością materyalną.

Od roku — od ciężkiego krwotoku z płuc, na który zapadł w zeszłym roku w Krakowie podczas 2-go zjazdu dziennikarzy włościańskich — twórczość jego umilkła. Wogóle zmienił się od tej choroby bardzo i owładnęły nim jakby ciężka troska i przygnębienie... Snać myśl straszna o nieuleczalności choroby piersiowej i sercowej, nękała go bezlitośnie, rozstrajała organizm na pozór herkulesowy, doprowadziwszy do melancholii a wreszcie i obłędu wepchnęła mu w rękę morderczą broń, którą przeciął nić swego życia. Męczył się strasznie kilkadziesiąt godzin, zupełnie przytomny, a umarł skruszony i pojednany z Bogiem, pokrzepiwszy duszę swą przyjęciem św. Sakramentów.

Umarł w sile wieku. Urodził się we Lwowie w r. 1859. Ojciec jego Schnür był potomkiem oddawna we Lwowie osiadłej rodziny mieszczańskiej, pochodzenia niemieckiego, matka zaś z rodziny polskiej, szlacheckiej Pepłowska, była siostrą zmarłego niedawno emerytowanego radcy dworu ś. p. Ludwika Pepłowskiego, który adoptował jej dzieci i zostawił im pokaźny majątek. Jako akademik odgrywał wśród kolegów wybitną rolę i był jednym z najtęższych prezesów czytelni akademickiej we Lwowie. Z początku chciał się poświęcić sądownictwu, ale wkrótce je porzucił i oddał się dziennikarstwu.

Jako sekretarz Towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie, położył około Towarzystwa tego zasługi niespożyte. Był także sekretarzem Koła literacko-artystycznego. Pozostawił żonę i 7-mio letniego syna.

Cześć jego pamięci. *Eka.*

Kronika.

Któż sobie nie przypomni z lubością tych schadzek i zebrań koleżeńskich, na których deklamowało się „Odę do Młodości", na których w szalony nieomal zachwyt wprawiał nas Juljusza „Kordyan", Zygmunta „Irydion, „Nieboska komedya", i tyle innych wspaniałych pieśni, dramatów i utworów płodów natchnienia genialnych mistrzów. Jakież to nowe światy otwierały się przed okiem naszem, jakiż górny polot brała nasza myśl, jak uczyliśmy się kochać wszystko, co piękne i wzniosłe, wszystko, co polskie i nasze.

Zaiste niezapomniane i niezatarte to chwile! Ileż to prócz tych górnych aspiracyi, było wesołości, swobody i humoru. Pomiędzy gromadką młodzieży na pewno znalazł się dowcipniś, którego uwagi marginesowe z ust do ust podawano. Nie brakło też w tych gromadkach wierszokletów, którzy pisali ody „Do...." pełne blasków miesiąca, pełne mgieł powiewnych, pełne zorz i tęcz — a zawsze pełne omdlewających zapałów dla.... tej wymarzonej. Słuchaliśmy tego wszystkiego z przejęciem i wydawało się nam, że nowy Adam się narodził — były to jednak tylko owe iskry natchnień, które prawie z każdego czułego młodego serca umie wykrzesać para modrych lub czarnych oczu.

Zdarzało się też, że pisano dramata — pełne poświęceń, pełne walk, zabójstw, nadzwyczajnych wydarzeń — albo eposy o kilku tysiącach wierszy. Wszystko to były produkty niedojrzałe jeszcze, ale nie szkodziły one nikomu.

W każdym razie lepiej było, że młodzież nasza zbierała się, aby czytać po polsku, aby poznawać dzieje ojczyste, skarby naszego piśmiennictwa, niżby miała tłuc się po knajpach,

A teraz rzućmy okiem na gimnazyalną młodzież niemiecką.

Za moich czasów owa młodzież tworzyła tajne stowarzyszenia, na których naśladując starszych braci i kuzynów, akademików zapijała się piwem, okadzała się kłębami dymów z długich fajek, napchanych kanastrem, wprawiała się w mało urocze pieśni pijackie i t. d.

Profesorowie Niemcy przez czas dłuższy patrzyli na to przez szpary, ale pilnie natomiast śledzili uczni Polaków, o których ich doszedł posłuch, że zbierają się, aby się uczyć wzajemnie.

To też niepojętą dla mnie jest rzeczą, dlaczego prześladują naszą młodzież za to, że uczy się ojczystego języka, że zapoznaje się z dziejami naszemi, że zagłębia się w skarby naszej poezyi, naszego piśmiennictwa.

Wiem, że w tych kółkach nic zdrożnego się nie dzieje, wiem, że nie knuje się żadnych spisków przeciwko państwu. I na cóż to prześladowanie!

Gdyby udzielano w szkołach nauki dziejów naszych i literatury, nie byłoby potrzeby uczenia się potajemnie przeszłości i zapoznawania się ze skarbami ducha polskiego w sekrecie przed profesorem. Lecz w naszych warunkach któż tę młodzież naszą potępić może!?

Ha! Gdyby to rozpijano się, grano w karty, trwoniono młodość i zdrowie na nocnych hulankach, nie miałbym dosyć słów potępienia dla tej młodzieży, lecz dla tej młodzieży, kształcącej się w duchu polskim, w myśli polskiej mam tylko słowo uznania, a z drugiej strony słowo współczucia, że znosić musi prześladowanie za to, za co gdzie indziej pochwały zbiera, to jest za naukę.

Ale trzeba się liczyć z warunkami. To też mojem zdaniem nieostrożnem jest noszenie spisów członków przy sobie, noszenie książek polskich do klasy.

Czemuż to się narażać?

Czyż nie można ostrożniej postępować? Niepotrzebne też jest mojem zdaniem znoszenie się z innemi gimnazyami. Przecież takie korespondencye zwracają tylko na siebie uwagę.

A jakiż skutek wykrycia schadzek i związku z innemi zakładami naukowemi?

Oto ofiarą padają zazwyczaj przywódzcy, wśród których nieraz spotykamy młodzież najzdolniejszą. Wydalenie z gimnazyum jest częstokroć zwichnięciem karyery, podkopaniem najlepszych nadziei, jest ciosem dla niejednej polskiej rodziny. *Z tem się jednak także liczyć należy.* Dlatego ganić naszej młodzieży nie mogę, ale mogę jej zalecić jak największą przezorność. — Niechaj młodzież pamięta, że dziś jest szpiegowana przez różnych szpiclów. Nie lepiej byłoby zaniechać na pewien czas schadzek? Radzę to jako prawdziwy przyjaciel młodzieży. *Acer.*



Złote myśli.

Tylko wielkim ludziom wolno mieć wielkie wady.

* * *

Prawdziwą wartością człowieka jest czynić bez świadków to, co może czynić i przed całym światem.

* * *

Pochlebstwo jest fałszywą monetą, której kursowanie upoważnia jedynie nasza pycha.



KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

F. de B.

(Ciąg dalszy.)

Odbył tylko co konferencyę z klucznicą, sprowadzoną z Anglii do zarządu domem, który dotąd spoczywał w niedbałych rękach młodego grooma, angielskiej również narodowości.

Owa klucznica nie była jeszcze dobrze poznajomiona z obowiązkami służby swojej; gentleman z ulicy Godot, zmuszony szczegółowych w tym względzie udzielać jej instrukcji, opóźnił się z wyjściem, a z obawy spóźnienia się na umówione z Piédouche'm spotkanie spiesznie przerzucał plik papierów, złożonych na biurku.

Te papiery nie zdawały się odnosić do sprawy zamordowanej kobiety; na okładce odrysowane było piórem drzewo genealogiczne w dużym formacie. Pan de Tinchebray przypatrywał mu się z tak natężoną uwagą, jakby chodziło o wylegitymowanie jego własnego rodowodu; porównywał je z innemi dokumentami, opatrzonymi w pieczęcie urzędowe i robił notatki w książeczce wyjętej z kieszeni

— Wszystko w porządku — mówił półgłosem, ukończywszy swoje zajęcie archiwisty — prawa sukcesyi jasno wykazane. Jakób O'Sullivan, zmarły w r. 1811 w Indyach Wschodnich w Poonach, w prowincyi Bombay, miał cztery siostry, których umierając, nie widział od lat piętnastu. Umarł jako kawaler bezdzietnie. Nie zostawił testamentu, a majątek jego, złożony w banku w Dublinie, dochodzi do 400,000 funtów szterlingów z procentami; czyni to trochę więcej, niż 10 milionów franków.

Z czterech sióstr, z których dwie wyszły za mąż we Francyi, a dwie w Anglii, z dniem 1-go stycznia r. b. pozostawało przy życiu czterech potomków w różnych stopniach pokrewieństwa; trzy kobiety, jeden mężczyzna.

Żaden ze spadkobierców nie dochodził praw swoich do tego majątku, nie wiedząc o jego istnieniu; major O'Sullivan dorobił się fortuny w dalekich krajach i żadnych stosunków z rodziną nie utrzymywał.

W sukcesyi z lini pobocznej najbliższy stopniem spadkobierca wyłącza wszystkich innych od spadku. W razie jego śmierci, prawa przechodzą na najbliżej po nim stojącego i tak aż do najdalszego pokrewieństwa.

To mi dobra sprawa!... równie dobrej nawet ojciec Lecoq nie miał w życiu swojem. Przejrzyjmy tylko notatkę odnośnie do spadkobierców linii francuskiej... tymi tylko potrzebuję się jeszcze zająć.

Numer pierwszy: Teresa Lecomte, córka niepełnoletnia nieboszczyka M. Lecomte, bankiera w Paryżu, wnuka, przez matkę Georginy O'Sullivan, starszej siostry majora.

Numer drugi: Pultina Bernien, żona Piotra Cambremer, a córka Katarzyny Bornier, której matka Elżbieta była siostrą nieboszczyka O'Sullivana.

Wiadomo, że Teresa Lecomte żyje, że mieszka z matką w Boulogne sur Seine i że za dojściem do pełnoletności odziedziczy znaczny majątek.

Informacye o Paulinie Bernien nie są dokładne. Nie jest dowiedzione, czy żyje jeszcze; jeśli jednak umarła, musiała zostawić córkę. Mąż jej, niższej rangi urzędnik, pracuje przy kolei żelaznej w Orléans.

— Będę miał czas złożyć wizytę dwom spadkobierczyniom po obiedzie, po widzeniu się z Piédouche'm — zadecydował p. de Tinchebray, chowając drzewo genealogiczne do skrytki w biurku.

Ułożywszy program dnia, kazał furmanowi z wynajętym powozem czekać na siebie na rogu ulicy Gabriel; następnie dawszy kilka zleceń nowej klucznicy, wyszedł i zamiast udać się na Plac Zgody przez bulwar, zawrócił na ulicę Seze, aby od tyłu zajść przed kościół św. Magdaleny.

Nie zapomniał zapalić cygara, a Piédouch'e, który czekał go w miejscu oznaczonem, nie zapomniał prosić go o ogień.

Czas i miejsce sprzyjały poufnej pogawędce; ostry wiatr spędzał przechodniów z chodników, a plac dotykający do ulicy Tronchet był pusty.

Pan Tolbiac de Tinchebray bez obawy spotkania któregoz licznych swoich znajomych, mógł przedłużyć rozmowę z policyantem nr. 29.

Piédouche ubrał się starannie. W tużurku o długich połach, zapiętym na piersiach, w kapeluszu z szerokim rondem, z laską o złoconej gałce miał wygląd starego wojaka.

— Co tam nowego? — zapytał krótko Tolbiac.

— Nie wiele. Zrewidowano kufry i nic w nich nie znaleziono z wyjątkiem sukien i bielizny damskiej. A co za batysty, koronki, jedwabie, aksamity! Musiała być jejmość nie lada bogatą. Myślę, że ją dlatego zabili, aby zagrabić jej majątek.

— Nie znaleziono żadnych papierów w rzeczach lub w domu?

— Ani śladu. Ten kto urządził tę sztuczkę, to sprytny ptaszek. Wszystko spalił. Znaleziono tylko popiół w kominie. Nasz szef wydobył z niego kawałek koperty z częścią adresu: „Pani Marya Fassitt..." Pod tem nazwiskiem znali ją w tamtej dzielnicy.... Była także marka pocztowa... list z Paryża. Stempel biura pocztowego z placu „Thèatre Francais".

— Sądzę, że zachowali kopertę?

— Tak, szef ją panu pokaże.

— Czy wiadome nazwisko właściciela pawilonu?

— Nie jeszcze; podatki dotąd nie ściągnięte. Poborca przypuszcza, że mu wskazano fałszywy adres w Londynie i szef kazał, proszę pana, abyś to sprawdził.

— Pisałem już w tym interesie.

— Przytem szef polecił zawiadomić pana, że ślady stóp człowieka, który przyszedł w nocy, nie są takie same, jak ślady z dnia poprzedniego.

— To mało znaczący szczegół. Ów człowiek mógł zmienić obuwie. Czy nie było konfrontacyi w Mordze?

— Nie. Składnicy węgla nic też nie powiedzieli ciekawego. Zeznali, że ta pani bardzo mało wychodziła i nie przyjmowała nikogo prawie u siebie. Zauważyli tylko jakiegoś pana w średnim wieku, który wyglądał na cudzoziemca, a w ostatnich dniach przychodził jakiś młodzieniec z brodą.

— Ten właśnie był zabójcą — odezwał się Tolbiac stanowczym tonem.

— Takbym sądził; rysopis odpowiada hultajowi, który mówił ze mną i który takiego figla mi wypłatał.

— Tego człowieka trzeba wytropić. Jeśli zdołasz go przyłapać, ja z mojej kieszeni ofiaruję ci tysiąc franków. Nie żałuj trudów, los może ci szczęśliwie posłużyć.

— Bądź pan spokojny. Nietylko dla tych tysiąca franków, które przydałyby mi się jednak... Złożyłbym je zaraz do kasy oszczędności dla malców... ale tego łotra i za darmo radbym z całej duszy pochwycić; przez niego o mało nie straciłem miejsca.

— Czy ściągnąłeś, jak ci to zaleciłem, informacye o tym Lheureuse?

— Tak jest. Nikt go nie podejrzywał, że ma znajomości na ulicy Arbaléte.

— Rzeczywiście. Twoje wiadomości zgodne z mojemi.

— Co dziwniejsze, że ci składnicy węgla obok mieszkający, dowodzą, iż nigdy nie widzieli kupca, wchodzącego do tej pani. Nie poznali go, gdy im pokazano ciało.

— Może on przychodził tylko nocą! — zawołał Tolbiac z pewnem zniecierpliwieniem. — Jeśli mi nie masz nic więcej do powiedzenia, to odchodzę, bo mi pilno. Szukaj tylko tego młodzieńca; mnie zostaw resztę.

— Rozumiem, panie Tolbiac i uciekam; mógłby kto na nas zwrócić uwagę. Czy mam powiedzieć szefowi, jak daleko pan sprawę posunął?

— Powiedz mu, że jestem już na śladzie... że przyjdę do niego pod koniec tygodnia.

Piédouche skłoniwszy się, odszedł, ale zaraz zawrócił.

— Zapomniałem panu wspomnieć, że nasz szef wyobraził sobie, iż niemowę nauczy mówić.

— Jakto? Mówić!

— Tak jest; nauczyciel głuchoniemych przychodzi w tym celu codziennie na dwie godziny do więzienia.

— Co za myśl! Trzebaby długich lat; aby go wyuczyć sztuki rozmawiania.

— Zdaje się, że to prędzej nastąpi; jest pojętny i robi postępy.

— Tem lepiej — odparł chłodno pan de Tinchebray. — Nie rachuję jednak na niego i mam nadzieję, że załatwię sprawę, zanim on skończy swoją edukacyę.

Po tych słowach skinąwszy głową policyantowi, udał się w stronę, gdzie czekał na niego powóz. Wsiadłszy, zawołał do stangreta:

—Boulogne — wybrzeże Quatre-Septembre nr. 95.

Koń czystej krwi puścił się jak strzała; wyciągniętym kłusem pędząc przez Pola Elizejskie, minął niebawem Łuk Tryumfalny, lasek buloński. Pan de Tinchebray szczodrze płacił i był zawsze doskonale obsłużony.

W trzy kwandranse niespełna po danym stangretowi rozkazie, powóz jego zatrzymał się przed kratą willi, w niczem niepodobnej do pawilonu przy ulicy Arbaléte.

Był to piękny dom z podwórzem i ogrodem, wzniesiony nad brzegiem Sekwany, wprost ładnej wioski Saint Cloud. Zdawał się należeć do bogatych mieszczan, ceniących spokój i wygodę.

Architekt naśladował styl Ludwika XIII-go, ale zbudował gmach, odpowiadający potrzebom tegoczesnym: wysokie salony na parterze, kuchnie w suterenach, stajnie, wozownie, zabudowania gospodarskie w dziedzińcu od tyłu.

Przytem park, rozciągający się po za tym sielskim pałacem; park z cienistemi drzewami, zielonemi łąkami, kwiatowemi kobiercami i bieżącą wodą.

— Ci ludzie muszą mieć ze sto tysięcy franków dochodu — pomyślał pan de Tinchebray. — Więcej, niżeli potrzeba dla dwóch kobiet samotnych. Pytanie, czy dadzą się zwabić na przynętę sukcesyi O'Sullivan'a. Rybki nawet bogate łapią się na taki haczyk. Trzeba tylko brać się do działania umiejętnie.

Zadzwonił, nie namyślając się dłużej.

Odźwierny w bronzowej liberyi otworzył bramę i wskazał ganek, gdzie oczekujący gościa kamerdyner zażądał biletu wizytowego.

— Nie mam szczęścia być znany osobiście pani Lecomte — oświadczył *detektyw* — proszę jej powiedzieć, że pragnę rozmówić się z nią w ważnym interesie, dotyczącym głównie panny Lecomte.

Lokaj wprowadził go do małego, eleganckiego salonu i poszedł wywiązać się z polecenia.

W chwilę później stanął we drzwiach młodzieniec, którego twarz zwróciła uwagę p. Tolbiaca. Młodzieniec odezwał się do *detektywa* chłodnym tonem:

— Życzyłeś pan widzieć się z panią Lecomte?

— Tak, panie.

— Z kim mam przyjemność mówić?

— Moje nazwisko niby panu nie objaśniło; nadto nie raczył pan jeszcze wymienić mi swego.

— Wystarczy, gdy powiem, że za miesiąc będę zięciem pani Lecomte.

Pan de Tinchenbray skłonił się, nie spiesząc z odpowiedzią na oświadczenie, zrobione w sposób nie bardzo uprzejmy.

— Ha! — pomyślał w duchu — mamy tedy i zięcia. Do licha, trzeba natrzeć na niego inaczej.

— Zechciej pan powiedzieć, o co chodzi — nalegał młody człowiek — powtarzam, iż mam prawo zastępować panią Lecomte, skoro zaślubiam jej córkę. Możemy przystąpić bezzwłocznie do interesu, który, z niemałem mojem zdziwieniem, zdaniem pana, ma dotyczyć panny Lecomte.

Podczas gdy przyszły zięć wyrażał się tak oschle, Tolbiac wpatrywał się w niego z uporem, graniczącym z impertynencyą; u człowieka, przestrzegającego zazwyczaj ściśle formy grzeczności towarzyskiej, podobne uchybienie owym formom musiało mieć ważne powody.

— Nie sądzę — odezwał się młodzieniec z gniewem — że przybyłeś pan tutaj z intencyą, aby sobie ze mnie żartować... mógłbym to jednak przypuszczać po pańskiem zachowaniu się.. otóż oświadczam, że nie znoszę niegrzeczności od nikogo i że...

— Przepraszam pana — przerwał tonem uprzejmym pan de Tinchebray — zasłużyłem na surowe zarzuty, jakie mi pan stawiasz i proszę o przebaczenie. Jeżeli wpatrywałem się w oblicze pana trochę dłużej, niżeli wypadało, to dlatego, że zdawało mi się, jakbym miał zaszczyt już pana gdzieś spotkać. Nie odpowiadałem na zadawane pytania, szukając we wspomnieniach własnych. Może mi pan te poszukiwania ułatwi i objaśni, czy pan przed kilku laty nie przebywałeś w Anglii?

— Kończyłem tam moje nauki. Ponieważ pana tak zaciekawia moja osoba, oznajmiam, że nazywam się Ludwik Lecoq de Gentilly. Będę mu służył, gdzie i kiedy się panu spodoba — dodał tonem, nie budzącym wątpliwości co do znaczenia ostatnich wyrazów.

Gość nie podniósł rzuconej sobie rękawicy, a co dziwniejsze, nie nalegał już na widzenie się z panią Lecomte.

Mimo całego zapanowania nad sobą pan de Tinchebray nie mógł ukryć zdumienia i niezadowolenia swego, usłyszawszy nazwisko Lecoq. Wprędce jednak zdołał ukryć doznane wrażenie i rzekł chłodnym tonem:

— Widzę, że się omyliłem, nazwisko pańskie jest mi zupełnie nieznane. Pragnąłem porozumieć się z panią Lecomte. Pożałuje może tego w przyszłości, że mnie przyjąć nie chciała, ale skoro tak jest, muszę pana pożegnać.

Skłoniwszy się lekko Ludwikowi, który mu nie zwrócił ukłonu, wyszedł, a siadłszy do powozu, zawołał:

— Na dworzec Orleański:

Widocznie, koń, ciągnący powóz, nie był jego własnością, bo nie myślał go oszczędzać.

Zaledwie ujechali kilka kilometrów z tych, które dzieliły nadbrzeżną ulicę Boulogne od bulwaru de l'Hopital, tajny agent policyi, zaczął półgłosem monolog niezrozumiały dla drugich:

— Byłbym się pięknie urządził! Ten chłopiec musi być synem starego Lecoqa,... i on właśnie ma zaślubić jedną ze spadkobierczyń, a raczej jedyną... ta druga może dopiero dziedziczyć po jej śmierci. Istotnie, jakby się djabeł w to wmieszał.

Z drugiej strony pewny jestem, że gdzieś widziałem tego Lecoqa, nie spotykałem go nigdy z ojcem, z którym zresztą trzy razy mówiłem w życiu... Gdzie ja tamtego widywać mogłem?... może w Londynie... wspomniał, że w Anglii edukacyę pobierał. Muszę to sprawdzić... Gdyby mnie tam widział... ale nie może być... byłby mnie poznał... widocznie zaś twarz moja obcą mu się wydała... Wprawdzie wówczas nosiłem brodę. I on ma dziś zarost, na który pewno jeszcze się nie zanosiło, gdy przebywał z tamtej strony kanału. Za kilka dni będę wiedział, czego się trzymać.

Po tej uwadze twarz Tolbiaca sposępniała.

— Tak, dowiem się tego, ale niemniej sprawa spadku przepadła. Jak traktować z kobietami, które wchodzą w stosunki rodzinne z Lecoq'em! Gdybym im zaproponował jaką tranzakcyę, radzonoby się syna, syn odniósłby się do ojca, a stary łotr odgadłby moje plany.

Możnaby spróbować drugiego sposobu... w tej chwili jednak jest niebezpieczny... Mniejsza o to! Pójdę którego wieczora czatować w pobliżu domu; im prędzej, tem lepiej; nie mam czasu do stracenia. Tymczasem na przypadek zabezpieczę się z tą drugą... córką nadzorcy drogowego; z nią łatwiejsza będzie sprawa... Tylko jakże się układać, skoro ona ma dopiero lat sześć. Przekonam się najpierw co to za osobistość ten ojciec, a potem zdecyduję, jakiego chwycić się środka.

Po tej długiej rozmowie z samym sobą, Tolbiac wsunął się w kąt powozu i zamilkł.

Gdyby szef policyi mógł go widzieć i słyszeć od chwili jak rozstał się z Piédouch'em na placu la Madeleine byłby niepomiernie zdziwiony.

Ów *detektyw*, który obiecywał wykryć przed miesiącem sprawcę dwóch zbrodni na ulicy Arbaléte, zdawał się nie tą sprawą, ale zupełnie czem innem być zajęty.

Wobec nieograniczonego zaufania, jakie szef pokładał w swoim pomocniku, byłby może przypuszczał, że wszystkie podjęte przez niego zachody odnosiły się średnio do owego ważnego, zleconego mu wykrycia.

Jakiekolwiek były jego pobudki pan de Tinchebray odzyskał zupełny spokój, gdy powóz zatrzymał się przed gmachem administracyi ruchu kompanii kolei Orleańskiej.

Wiedział do kogo zwrócić się po żądane informacye i udał się prosto do naczelnika, pod którym służył Piotr Cambremer. Tłómacząc potrzebę przeprowadzenia śledztwa policyjnego, tyczącego się nadużyć, dokonanych poprzednio w biurach tamtejszych, prosił o pozwolenie badania osobiście Piotra, zalecając przytem dyskrecyę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ustęp z Pamiętników Ułana z roku 1831.

(Ze starego manuskryptu.)

...Po połączeniu się powstańców litewskich z nami, doszła nas wiadomość, że jenerał Giełgud z 18-sto tysięcznym blizko korpusem i dwudziestoma działami, odcięty w Augustowskiem od głównej armii, przerznął się także na Litwę i ku Wilnu pospiesznemi marszami zdążał. Wieść ta tem mocniej podniosła ducha tak w naszym starym żołnierzu, jako też i w konfederowanej Litwie całej, tem więcej gdy po obliczeniu sił, obecnie na Litwie i Żmudzi rozrzuconych, pod wodzą jenerałów: Chłapowskiego, Szymanowskiego, Rolanda, Dembińskiego i Giełguda, oraz podpułkownika Matuszewicza, wypadek okazał dość już poważną liczbę, bo dochodzącą do 30 kilku przeszło tysięcy, a mimo to, że połowa może tego składała się z żołnierza młodego, niedoświadczonego i nie najlepiej uzbrojonego, wszelako co im nie dostarczało z tej strony, to na zapał, poświęcenie i przykład starego wojska, zresztą i na patryotyzm mieszkańców licząc, byliśmy aż nadto pewni, że z podobnemi siłami śmiało już spotykać się będziem mogli z nieprzyjacielem chociażby co do liczby i o wiele od nas przeważniejszym. Nietracąc zatem czasu, zwinęliśmy obóz i pociągnęli ku Wilnu. Po kilku dniach marszu, podsunęliśmy się bez przeszkody na odległość 1 i pół tylko mili od Wilna, ale z przerażeniem i smutkiem niemałym nietylko nigdzie korpusu jenerała Giełguda nie spotkaliśmy, lecz nadto po stratowanych zbożach do koła i poniszczonej okolicy domyśliliśmy się z łatwością, że tędy świeżo Rossyanie przeszli. I w samej rzeczy Sakin z kilkunastotysięcznym korpusem, korzystając z czasu, który jenerał Giełgud na wyprawienie swych imienin w rodzinnem swem gnieździe Giełgudyszkach dla próżnej chełpliwości trwonił marnie, ubiegł tymczasem Wilno, dotąd szczupły tylko garnizon mające, a którego mieszkańcy z utęsknieniem wyglądali ukazania się tylko jakiegobądź oddziału regularnego polskiego żołnierza, aby mu bramy miasta otworzyć.

Stanęliśmy tedy, jak wspomniałem, o 1 i pół mili od Wilna obozem, pod wsią Malowanką, tak blizko nieprzyjaciela, żeśmy każdego ranka i wieczora po rosie dobrze słyszeli bębny i świstania fajfrów Moskiewskich w Wilnie. Dlaczego Sakin którejbądź nocy nie uderzył na nas i nie rozgromił zupełnie? a coby było mu z łatwością przyszło, tego nikt z nas ani nie pojmował wówczas, choć co dnia byliśmy na to przygotowani, ani ja dotąd pojąć nie mogę. A że nas w spokoju zostawił, więc tymczasem ćwiczyliśmy po całych dniach młodego żołnierza, sposobiąc go do blizkiego boju. Litwin, dzisiejszy zwłaszcza włościanin odrodzony od swych przodków, co to za Olgierdów i Gedyminów postrachem bywał Lachów, Rusinów i Krzyżaków, dziś spowolniały i skupiony jakoś na wewnątrz, do ascetyzmu niezmiernie skłonny, tępo pojmował musztrę i mało okazywał ducha, co nas starych instruktorów niecierpliwiło niezmiernie, a prócz tego i to, że miasto tego życia gwarnego, wojacko-junackiego, miasto owych wesołych śpiewek, konceptów i tej nieustannej gawędy ogniskowej w czem nasz polski wiarus jest niezrównanym, gdyś zaszedł do baraku do Litwinów, toś ich zastał albo leżących pokotem w głębokiej zadumie, albo skrzętnie ale milcząco warzących sobie jadło, lub wreszcie, co najczęściej, siedzących kupkami z różańcem w ręku i śpiewających po litewsku grobowo ponurym głosem jakąś pieśń pobożną albo litanią. Nabożeństwa nikt z nas wtedy jeszcze nie miał zwyczaju przedrwiwać, owszem, na wzór naszych sławnych przodków, nie jedne pułki nasze przed początkiem każdej bitwy i teraz głośnym chórem śpiewały starożytną *„Boga Rodzica dziewica!“* ani się też nikt tem nie gorszył, gdy widział obok siebie kolegę pobożnie wprzód żegnającego się, zanim do ataku spuścił w pół ucha końskiego lancę, bo przysłowie *„kto z Bogiem, to i Bóg z nim“* było tedy jeszcze artykułem wiary najstarszych i najmłodszych żołnierzy wszelkiego stopnia. Ale z drugiej znowu strony owe ciągłe rzewno-trwożliwe jakieś zewnętrzne oznaki bigoteryi rażą i źle odbijają w obozie obok munduru i szabli, a taki żołnierz, co ciągle pacierze szepcze i w piersi się bije, jakoś dlatego już samego nie wielkie o swej odwadze daje wyobrażenie, że go się musi, i to nie bez przyczyny o słabość ducha pomawiać. —

Przez czas obozowania w pobliżu Wilna miałem sposobność, będąc kilka razy odkomenderowanym za furażowaniem, i nieraz jeden patrolując w różnych kierunkach, poznać okolicę, oraz przypatrzyć się bliżej domowemu życiu obywatela i wieśniaka litewskiego. Litwa wogóle prawie kraj zapadły i lesisty, pełen jezior i wód, na pierwszy rzut oka dla obcego jakąś tajemniczą, ale nie dość wdzięczną przedstawia fizyognomią, zbliżywszy się jednak czy to do Wilna, czy w kierunku Żmudzkiej granicy ku Kiejdanom roztacza się przed tobą czem raz obszerniej pyszny, uroczy krajobraz, ze swemi zielonemi, kwiecistemi dolinami i wybrzeżami Niemnu, Wilii, Wilejki, i Świętej rzeki skrapianemi śrebrnemi tych rzek nurtami a po nad niemi ni to szkielety, sterczą omszone sędziwą starością owe sławne mury lub ułomki baszt, nieme świadki dawnej potęgi władzców na Trokach, Krewiu, Birszach i Starym Kownie. Lud tu z pozoru dziko wygląda, w pochylonych, dymnych chatach, często wśród lasu położonych, zamieszkały, rzadko bardzo po za granicą swego sioła znający świat Boży, ztąd obcego, zwłaszcza z klasy wyższej, którego mowy całkiem nie rozumie, lęka się, nieufa mu, i trwskliwie wszelkiego zetknięcia z jakim bądź przybyszem unika, w gruncie atoli poczciwy choć uparty i skryty, potulny i religijny, ale dotąd z zabytków pogańskich dużo zabobonów ściśle przestrzegający; do dziś karmi on i hoduje domowe węże, sypie ziarno, rozlewa mleko, stawia misy z miodem dla domowych bogów po kątach świetlicy, ale zarazem pali gromnicę lub wieczną lampę przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej, w dzień zaś zaduszny pod przewodnictwem starego guślarza znoszą dla zmarłych na cmentarze obiady i po pustych kaplicach, których tam pełno, sprawiają regularnie *dziady*.

Co się tyczy szlachty, obyczaje tej, wyjąwszy rodziny magnackie, które w całym świecie jeden stopień zewnętrznej formy już przyjęły, zachowały się do dziś niby skamieniałe, w owej staropolskiej poczciwości i w tych patriarchalnych cnotach, jakich to przed wprowadzeniem do nas cywilizacyi zachodu, tak święcie przestrzegali przodkowie nasi!...

Razu jednego za komendą przybyłem do jednego z takiej szlachty, a był to sobie pan na 3ch czy 4ch nawet obszernych włościach, u którego spichrze i lamusy widziałem pełne, kilkoletnie sterty, co niby obszernem osobnem siołem rozsiadły się na nieprzemierzonych okiem łanach, a w sypialni przy łóżku jegomości okutą i do podłogi przyśrubowaną skrzynię, pełną karbowańców i czerwieńców. Taki panek u nas trzymałby w przedpokoju najmniej z pół tuzina na rozkazy wykamaszowanej i z nudów poziewającej służby, mieszkałby w pałacu, chociażby bez symetryi, ale w parku postawionym, a w misyi w jakiej wtedy byłem, gdybym do niego zajechał, przyjąłby mnie z miną słodko-kwaskowatą a może i protekcyonalnie, dla wysondowania zaś stopnia wykształcenia swego natrętnego gościa, mową obcą. On? przyjął mnie na progu staroświeckiego, modrzewiowego dworca, w dreliszkowym żupanie i kozłowych butach, z podgoloną czupryną i sitarskim wąsem, co się zawiesiście na otwartej, serdecznej, rumianej, a od radości rozpromienionej wił twarzy, z otwartemi rękami wprowadził do komnaty, gdziem ujrzał jeszcze owe nie wytworne wprawdzie, jednak choć kosztowne, trwałe, atoli staroświeckie sprzęty, makaty, kobierce, cenną starością, tradycyą i wartością broń, jelenie i łosie rogi, niedźwiedzie skóry, siecie i rozmaite samołówki na zwierza, wreszcie familijne starych antenatów portrety, a między niemi Jagiełły i Jadwigi, Witolda, starego Kiejstuta i sławnej z wdzięków jego Biruty konterfekta. A zanim jeszcze gospodyni domu i dorosłe córki ukazały mi się, już małe kozaczę świeżą, ale domorodną nakrył stół serwetą i wniósł na tacy stoletnią może starkę i rozmaite litewskie zakąski, jakoto półgąski, kumpie, salcesony, wędzoną słoninę, a do tego chleb żytni, razowy.

— Ach! *Koroniarzu* kochany! ta pogorzałkujma se troszka! boć to was nie od dziś dopiero wyglądamy tu jak zbawienia! Taż to fortunny moment dla nas starej biednej Litwy, że znów korona ręce nam podaje! Taż to onę opłakaną już gorącemi łzami ukochaną małżonkę może znów po staremu połączy Pan Bóg na nowo ślubnym węzłem. O! na cudowną Matkę Ostrobramską! i na krew ś. p. dziada mego, co za świętą sprawę dał gardło pod okopami św. Trójcy klnę się! że wszystko, dalipan, wszystko, krom moich dziewek, a w potrzebie i one oddam wam, i na ołtarz ojczyzny złożę, tylko, koroniarze kochani, bijcie! a wyzwolicie nas raz już z tej egipskiej niewoli!

— Właśnie bo też mój mości dobr. przybyłem tu w podobnym interesie, muszę bowiem domagać się od niego małego liwerunku, jaki na pańskie majątki wypadł z podziału.

— A kochany koroniarzu, poczciwy poruczniku! to bierz, zabieraj, co żywnie

chcesz; dam ci i starki i owsa i siana, ta i kilka wołów zda wam się, a może z parę żmudzkiej rasy stepaków wybrałbyś dla tych naszych tam biedaków, co to się do was cisną, radzi bronić matki Ojczyzny, a nie mają niektóre chudziątka i na czem. O dam, ale o tem potem. Zjesz z nami pierwej, panie bracie, szlachecki litewski obiad, zjesz nieprawda? ja tym czasem podwody nakażę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ostatni dzień wystawy paryskiej.

Ostatni dzień wystawy paryskiej przedstawia nam illustracya, zamieszczona na stronie 1278.

Żałobę po wystawie przywdzieją przedewszystkiem przedsiębiorcy i spekulanci, którym w spadku zostają się olbrzymie minusy. W zeszłym tygodniu p. Millerand rozesłał niemniej jak trzy tysiące wezwań do sądu przeciw koncesyonaryuszom. Straty niektórych przedsięwzięć są wprost bajeczne; towarzystwo wagonów sypialnych, które urządziło restauracyę t. zw. „Transsibirien“ i wzniosło w dzielnicy Trocadero na czas wystawy specyalne hotele, zamyka bilans niedoborem *pięciu milionów franków*. Chodnik ruchomy przyprawił dwie kompanie o bankructwo. Ogromna większość restauratorów i impresaryów widowisk wystawowych zostawia na placu wystawowym fortuny... Ogólny płacz i zgrzytanie zębów!

Teraz rozpoczną się pomstowania na pp.: Millerand'a i Picard'a. — Wydzierżawiali nam place po takich cenach, że było niemożliwem wyjść na swoje! — To prawda, drodzy panowie, ale czy was kto zmuszał do przyjmowania trudnych warunków? Wysokie ceny powodowali sami przedsiębiorcy, przelicytowywując się wzajemnie. Wystawa obudziła gorączkę spekulacyjną, w której zapomniano o wszelkiej rachunkowości. Ciskano milionowe sumy w najryzykowniejsze przedsiębiorstwa, nie oglądając się wcale, czy dochody mogą je zwrócić.

Wina zatem olbrzymich strat w większej części spada na samych przedsiębiorców, których chciwość nadmierna została w ten sposób ukarana. Nie idzie jednak zatem, aby i organizatorowie wystawy byli bez błędu. P. Picard, mąż poważnego umysłu, zbyt mało troszczył się o rozrywki i zabawy. Przez pierwsze 4 miesiące poprzestawano na dość rzadkich iluminacyach. Wystawę zwiedzano; bawić się szła publiczność gdzieindziej. Łatwo pojąć, jak w ten sposób zostały zawiedzione rachuby restauratorów. Dopiero we wrześniu komisaryat generalny spostrzegł fałszywość tej taktyki, spróbował utworzyć specyalną komisyę zabaw. Było za późno. Wczesne wieczory i obniżenie się temperatury odstręczały tłum od dłuższego pobytu na placu wystawowym. *G. P.*





„Protest strukczaszego“ należy do tych nielicznych próbek powieściowych, w których zręczność autora tak opanowała materyał nowelistyczny i tak umiejętnie przetworzyła go na akcyę krotochwilową, że widz nie czuje przymusu i sztucznej krawieckiej roboty. Utwór jest organicznie zbudowany i napisany wierszem doskonałym, wyzłacającym prozę pierwowzoru.

Antoni Orłowski, znany i ceniony humorysta warszawski, zaczerpnął fabułę „Protestu“ z powieści J. I. Kraszewskiego p. tyt. „Szaławiła“. Treść w kilku słowach jest następująca:

Pan strukczaszy ma na wydaniu 5 córek, z których z jedną zaręcza się Zbisław Wierzchowski (p. Dąbrowski), ale wnet porzuca narzeczoną i zaręcza się z Domicelą Bolską (pani Wysocka). Już się ma odbyć ślub, już narzeczeni stoją przed ołtarzem, gdy nagle rozbrzmiewa w kościele uroczyste „veto“ strukczaszego. Panna ucieka z kościoła a za nią idzie w pościg Zbisław z odważnymi towarzyszami.

Tutaj zaczyna się sztuka. Domicela ucieka do starego zamku, Zbisław odnajduje ją tam, oblega zamek i wzywa Domicelę do poddania się. Z początku Domicela stawia opór, ale w końcu poddaje się Zbisławowi i otwiera mu drzwi do swych komnat. Polowanie za narzeczoną, łączące się z niem sceny i w końcu poskromienie narzeczonej są pełne humoru i życia.

Wyborną grą odznaczyły się panie Królikowska i Wysocka, oraz panowie Dąbrowski, Jakubowski, Czerniak i Berski. Wystawa sztuki była bardzo staranną.

Na zakończenie odegrano lekką a pełną humoru operetkę Offenbacha p. t. „Płaczka i śmieszek“, w której prym dzierżyła panna Golińska i tak grą żywą, pełną powabu, werwy i humoru, jakoteż i dźwięcznym śpiewem zasłużyła sobie na huczne oklaski w audytoryum. Panowie Berski, Okornicki i Wysocki grali dobrze.

Wznowiony świeżo piękny dramat p. tyt. „Aktorowie dworu“ przez Karola Wartenberga w doskonałym przekładzie Wł. Bogusławskiego, publiczność przyjęła sympatycznie. Z artystów wyróżnili się bardzo korzystnie panowie Dąbrowski i Wysocki, oraz pani Wysocka. Wystawa tej sztuki była także bardzo staranną.

W sobotę, dnia 1-go grudnia, ukaże się po raz pierwszy nowość sensacyjna: „Z a z a“, komedya w 4 aktach. Sztuka ta w krótkim czasie obiegła wszystkie celniejsze sceny, zyskując wszędzie, dzięki wielce zajmującej treści, poprawnej i efektownej scenery, wielkie uznanie. Rolę tytułową objęła p. Jakubowska.

Toż samo odegranem będzie w niedzielę wieczorem, a po południu dnia tego ukaże się po cenach do połowy zniżonych piękna i zabawna operetka: „Z a O c e a n e m.“ *R.*



Wiadomości.

Znowu złożyła nam w dniu 29-ym z. m. przed południem wizytę szanowna policya w osobie komisarza policyi kryminalnej, p. Augustiniego. Pan ten przybył z rozkazu król. prokuratoryi celem skonfiskowania będących w zapasie numerów „Pracy“ z dnia 28-go października r. b. (nr. 44-ty), gdyż artykuł w nich zamieszczony dr. Kazimierza Rakowskiego p. t. „Hańba stulecia“ jest rzekomo karygodnym. Procesy więc i śledztwa sypią się na nas jak z rogu obfitości — kroczymy iście po ciernistej drodze.

Z powodu nawału materyału zmuszeni byliśmy odłożyć nadesłaną nam łaskawie Odezwę Towarzystwa ku zwalczaniu gry hazardowej do następnego numeru.

Do skompletowania kwartalników potrzebne nam są Nr. 43, 44, 45 i 46 z r. b. — Szan. Czytelników prosimy o łaskawe nadesłanie nam choć niektórych z tych numerów, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Wiec wyborców powiatów Kępińskiego i Ostrzeszowskiego z współudziałem posłów odbędzie się w niedzielę 16-go grudnia o godzinie 3-ciej po południu w Kępnie w hotelu p. Staszaka, na który zapraszają

Komitet wyborczy
powiatów Kępińskiego i Ostrzeszowskiego.

Uroczystość Mickiewiczowska na cześć wiekopomnego Wieszcza naszego, Adama Mickiewicza, odbędzie się staraniem Towarzystwa „Stella“ z łaskawym współudziałem „Koła Śpiewackiego Polskiego“ i panów artystów sceny poznańskiej w

poniedziałek, dnia 3 grudnia w Teatrze Polskim podług następującego programu:

Część I. 1. Prolog (utwór sceniczny) napisał dr. D. Karchowski. 2. „O pieśni gminna“ (słowa Adama Mickiewicza). Śpiew odznaczony I-szą nagrodą na konkursie warszawskiego „Echa muzycznego“ — Z. Noskowski. 3. „Ballada“ (fortepian) — Reinecke. 4. Recitativo i arya Stefana z opery „Czarny dwór“ (śpiew solo) — Moniuszko. 4. Żywy obraz: „Polonez z Pana Tadeusza“ — Mickiewicz.

Część II. 6. „Pomnik Mickiewicza“ (Solo-Tenor i chór męzki) — Münchheimer. 7. a) Nocturn — Chopin. b) Staccato-Caprice — Vogrich. 8. „Dola tułacza“ (śpiew solo), słowa Fr. Januszewskiego — Neuendorf. 9. „Nędza“ (deklamacya) — Stebelski. 10. a) Romance op. 44. Nr. 1 (skrzypce) — Rubinstein-Wieniawski. b) Mazurka op. 39. — A. Zarzycki. 11. Żywy obraz: „Uczta z Konrada Wallenroda“ — Mickiewicz. — Skrzydło koncertowe Schiedmayera, odznaczone najwyższą nagrodą na tegorocznej wystawie w Paryżu, pochodzi z magazynu p. A. Drygasa w Poznaniu.

Ze względu na tak wzniosłą uroczystość, z której cały dochód przeznaczony na cele dobroczynne, powinna publiczność podążyć tłumnie do teatru.

Zarząd kolonji wakacyjnych w Poznaniu, zamykając roczne rachunki celem przedłożenia sprawozdań, uprasza jaknajuprzejmiej wszystkich szanownych członków Towarzystwa, którzy łaskawie się zobowiązali do płacenia rocznej składki celem poparcia podjętego przez nas zadania obywatelskiego opieki nad biedną dziatwą szkolną, aby raczyli uiścić się z zaległych wypłat na ręce skarbnika Towarzystwa, pana Bolesława Ziętkiewicza (firma T. Otmianowski) Poznań-Bazar. — Dla uniknienia uciążliwych korespondencyi w przypominaniu zaległej opłaty, zwłaszcza w chwili obecnej regulowania rozmaitych rachunków i zobowiązań, zgłosimy się listownie raz jeszcze z prośbą, o zezwolenie ściągnienia należności przez zaliczkę pocztową, a nie odbierając odpowiedzi negatywnej uważać będziemy, iż członkowie Towarzystwa nas do tego łaskawie upoważniają. —

Szanownym Paniom i Panom za łaskawy współudział w wieczornicy na dochód Towarzystwa „Przytulisko dla dziatwy szkolnej“, wyrażamy niniejszem naszą głęboką wdzięczność i serdeczne podziękowanie.

Zarząd.

Na odbudowanie wieży na Jasnej Górze złożyli w dalszym ciągu: N. N. z Szamotuł 3 m.; Towarzystwo Katolickich Robotników polskich w Berlinie 69 m. 70 fen.

Razem złożono dotąd na ten cel 237 m. 75 f. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

Na fundusz imienia Janiny Omańkowskiej złożyli w dalszym ciągu: pp. B. S. 1 m., Towarzystwo Młodych Przemysłowców w Mosinie 25 m. 40 fen. mianowicie: Kółko kawalerów 15 m., Kamiński 40 fen. Hartlieb 50 f. Jan Kordylewski 50 f. Andrzej Bączkowski 50 f. panny Marciniak 50 f. Rembowski 1 m. Jaskólski 1 m. 50 f. Kielczewski 50 f. Jan Jaworski 1 m. Jakubowski Franciszek 50 f. Cieślewicz Franciszek 50 f. wszyscy z Mosiny. Malinowski Stefan ze Śremu 50 f. Kamiński Bolesław z Budzynia 1 m. Ziemliński z Budzynia 1 m. Paszke (Niemiec) z Budzynia 50 fen. Razem jak wyżej 25 m. 40 f. Pp. Śniatczyński 1 m. Nowicki T. 1 m. Nowicki K. 1 m. Jeran 1 m. Kaniewski 50 f. N. N. 50 f. Walczak 50 f. Wawrzyniak 50 f. Jeszycki M. 50 f. Faytanowski 50 f. Lison R. 1 m., wszyscy z Jarocina razem 8 marek.

Dotąd zebraliśmy na ten cel 291 m. 51 fen. Z tej sumy doręczyliśmy Tow. „Samopomoc“ 124 m. 52 f. pozostały zatem u nas 166 m. 99 f.

Na fundusz jubileuszowy J. Chociszewskiego w Gnieźnie złożyła w dalszym ciągu pani Cymbrowska z Hamburga 4 m. Razem złożono na ten cel 163 marki 58 fen.

Ponieważ Komitet jubileuszowy ogłosił, że składki na cel powyższy przyjmować będzie tylko do dnia 1-go grudnia r. b., zatem i my zamykamy z dzisiejszym numerem składki na fundusz jubileuszowy J. Chociszewskiego.

Na restauracyą kościoła w Janówcu złożył p. B. S. 2 m. Dalsze datki na ten cel chętnie przyjmować będziemy.

Na Czytelnie ludowe otrzymaliśmy od Imci księdza Bronisza, administr. par. w Krotoszynie 17 m. 20 f. z następującym dopiskiem: „Zebrana na godach weselnych u pana Piotra Robińskiego za pośrednictwem pana Franciszka Kończaka, a złożona na ręce moje suma 17,20 mk. przeznaczona na „Czytelnie ludowe“ proszę o łaskawe pokwitowanie w łamach „Pracy.““

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Zwracamy szczególną uwagę na ogłoszenie drogeryi p. B. Śniegockiego. Firma wzmiankowana wydała świeżo cennik ułożony nader praktycznie. Wszystki towary są alfabetycznie ułożone. Cennik zawiera następujące działy: Artykuły domowe i kuchenne; artykuły gorzelnicze, malarskie, chirurgiczne, bartnicze i t. d. — obszerne wskazówki zalet towarów oraz jak ich używać, są jasno i przejrzyście podane. Obszerny dział zawierają artykuły toaletowe oraz chirurgiczne. Cennik powyższy przeseła drogerya p. B. Śniegockiego każdemu darmo i franko.

Cennik nowy wydała firma skutkiem licznych żądań odbiorców, którym dawniejsze cenniki wielce posłużyły przy wyborze i zakupnie towarów. — Szanownym odbiorcom posłuży niewątpliwie cennik ten do szybkiego porozumienia się z firmą, oraz zapobiegnie pomyłkom, jakie przy różnorodności towarów często wydarzyć się mogą. Zwracamy szczególną uwagę na to, iż p. B. Śniegocki z zasady towarów swoich nie udziela do dalszej sprzedaży, ma takowe tylko w najlepszych gatunkach i sprzedaje je po możliwie jak najtańszych cenach, co tradycya firmy stwierdza dowodnie. Nadmieniamy, iż cennik osobny na artykuły fotograficzne, wyda wkrótce p. Śniegocki w języku polskim.

Polecamy gorąco firmę „B. Śniegocki“ przy wszystkich zakupnach, dotyczących towarów drogeryjnych łaskawym względom naszych Czytelników.

Firma „Nanon“ w Poznaniu, Berlińska ulica 2, róg ulicy Wiktoryi, poleca tanie eleganckie kapelusze. (patrz ogłoszenie).

Z miasta. Szanowną Redakcyą upraszam o zamieszczenie w łamach pisma swego o pięknym stosunku, jaki panuje między właścicielem tutejszej firmy czekolady i cukrów Frenzla i Spółki a jego personałem, a którego naocznym świadkiem byłem w sobotę dnia 17 z. m. W tym dniu zaprosił teraźniejszy właściciel wyżej wspomnianej firmy p. Paweł Kryszkiewicz z powodu poświęcenia przez ks. prałata Stychla nowo założonej swej fabryki czekolady i cukrów cały swój personał fabryczny i składowy — do kawiarni pana Fischbacha „Eldorado“. Na tak zwanej białej sali tejże cukierni zgromadził się cały personał — Polacy i Niemcy — w liczbie około 60. Po spożyciu wspólnej kolacyi, przeplatanej przemowami tak z grona personału jak i przez samego szefa i wręczeniu pięknego bukietu szefowi przez robotnice, bawiono się w gry towarzyskie i tańczono ochoczo do 5 godziny z rana. Po wspólnem odśpiewaniu pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ rozeszli się uczestnicy do domów. Rano dnia tego był cały personał na zakupionej na ten cel mszy św. u Fary.

Z szacunkiem

D.

Na ogłoszenie artysty-malarza, p. Kazimierza Szmyta, zwracamy baczną uwagę Szanownej Publiczności i polecamy go jak najgoręcej jej względom.

Pan Stanisław Palędzki osiedlił się w mieście naszem przy ulicy Berlińskiej nr. 5 jako lekarz-dentysta i specyalista w chorobach zębów i ust. Pan Palędzki nie stawia pierwszych kroków w dentystyce, lecz praktykował już przez dłuższy czas z powodzeniem i uznaniem zagranicą i u wód. Niewątpimy, że i na ziemi ojczystej znajdzie powodzenie i uznanie, na które ze wszech miar zasługuje.

Skład zegarków i wszelkiej biżuteryi p. p. M. Szczepaniaka i Sp. w Krotoszynie zaopatrzony jest obficie w zegarki i wszelkie przedmioty, bardzo przydatne na podarki gwiazdkowe. Na odnośny anons zwracamy baczną uwagę Czytelnikom.

Na gwiazdkę poleca renomowana pierwszorzędna firma polska w Poznaniu „A. Marweg“ w hotelu Rzymskim przy placu Wilhelmowskim nr. 1-y bardzo wielki i bardzo bogaty wybór materyałów na suknie. Karta do zamówień zamieszczona jest pod anonsem, ogłoszonym na trzeciej stronie okładki. Na anons ten „Dla Panów“ zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom i polecamy gorąco ich poparciu przy zakupnach gwiazdkowych firmę „A. Marweg.“

Szanownej Publiczności zwracamy uwagę na anons gwiazdkowy p. Smiśniewicza w Poznaniu przy Wodnej ulicy nr. 25 co do towarów drogeryjnych i wielkiej wystawy gwiazdkowej. Firmę powyższą polecamy łaskawym względom Czytelnikom.

Dla teatrów amatorskich dostarcza bibliotekę teatrów amatorskich bez policzenia kosztów portoryi, oraz ma na składzie wszelkie przez księgarnie poznańskie polecane książki i materyały piśmienne w wielkim wyborze księgarnia I. Nowaka w Pr. Stargardzie (przy koszarach) w Prusach Zachodnich.

Wielki wybór wieńców, bukietów oraz roślin doniczkowych poleca p. I. Domaniecki przy ulicy św. Marcina nr. 13-y w Poznaniu. (Patrz ogłoszenie).

Na anons największego polskiego Domu towarowego K. Ignatowicza w Poznaniu przy ulicy Wrocławskiej nr. 4 i Jezuickiej ulicy nr. 10, zamieszczony na ostatniej stronie okładki, a dotyczący wielkiej wyprzedaży gwiazdkowej, zwracamy szczególną i baczną uwagę szanownym Czytelnikom.

Zakład przemysłowy dla kobiet w Gnieźnie przy ulicy Górnej nr. 1-y wykończa szybko i starannie wszystkie zamówione roboty, mia-

nowicie haft, robótki praktyczne i salonowe, bieliznę i krawieccyznę. Zakład ten zasługuje ze wszech miar na życzliwość i poparcie publiczności.

Skład towarów skórzanych przeważnie własnej fabrykacyi, premiowanych na wystawach w Poznaniu i we Lwowie, N. Wolniewicza w Bazarze w Poznaniu przy ulicy Nowej, jest obficie zaopatrzony we wszelkie drobne artykuły, jak torby szkolne i do podróży, kufry i t. d., oraz koniki na biegunach i kółkach, jako bardzo stosowne na podarki gwiazdkowe dla dzieci.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

Walne zebranie członków Towarzystwa Pomocy Naukowej Im. Marcinkowskiego na powiat śremski odbędzie się 2-go grudnia rb. o g. 4-tej w Sremie na sali hotelu „Victoria“
KOMITET.

Gołuchów, dnia 25 listopada 1900. Kwartalne posiedzenie „Towarzystwa Ogrodniczego“ na powiaty Jarocin - Pleszew odbędzie się w przyszłą niedzielę dnia 2 grudnia w Jarocinie, na sali hotelu p. Basińskiego o 1-szej godzinie z południa. O liczny udział członków jako też wszystkich interesentów ogrodnictwa prosi uprzejmie ZARZĄD.

Wrocław. Uroczysty obchód pamięci Adama Mickiewicza połączony z „Listopadówką“ urządza Towarzystwo Przemysłowców Polskich w Wrocławiu w poniedziałek, dnia 3-go grudnia 1900, wieczorem o godzinie $8^1/_2$ na górnej sali „Casino,“ Neue Gasse 8. Wstęp wolny. Datki dobrowolne na cel „Przytuliska.“

Od Redakcyi.

Szanownych Czytelników i przyjaciół pisma naszego prosimy o podanie adresów towarzystw polskich, istniejących w:

1) Altenbochum, 2) Ahlsdorf, 3) Alstaden, 4) Blumenthal, 5) Brandenburg, 6) Brunświk, 7) Boyer, 8) Bitterfeld, 9) Bottrop, 10) Delmenhorst 11) Dysseldorf, 12) Elberfeld, 13) Hamburg, 14) Horst, 15) Helbra, 16) Kolonia n. R., 17) Kray b. Essen, 18) Kirchlinde, 19) Linden, 20) Osterfeld, 21) Schenkendorf, 22) Wattenscheid, 23) Steele, 24) Velten, 25) Thale b. Harz.

O istnieniu polskich Towarzystw w tych miejscowościach wiemy, znamy nawet ich nazwy, brak nam wszakże bliższego adresu, który niezbędny jest dla przesłania kwestyonaryusza.

Panu Chrz... w Złotnikach (Güldenhof). Odpowiedzi na oświadczenie nadesłanej nam w tej formie zamieścić nie możemy, gdyż narazilibyśmy się na nieprzyjemności ze strony podpisanych pod odezwą osób. Inną stósownie do odezwy zredagowaną odpowiedź chętnie zamieścimy.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Ogólne niemieckie Towarzystwo zabezpieczenia w Sztutgardzie. W mies. październiku 1900 uregulowano 1262 przypadków odszkodowania, z tego przypadło na zabezpieczenie z odpowiedzialnością 610 przypadków i to 342 z powodu uszkodzenia cielesnego i 268 z powodu uszkodzenia rzeczy; na zabezpieczenie w razie okaleczenia 588 przypadków, z tych 5 spowodowało śmierć natychmiastową, a 4 zupełne lub też częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na kapitał w razie śmierci umarło w tym miesiącu 64. W październiku zawarto nowych zabezpieczeń 6470. Ze zameldowanych poszkodowań przed 1-ym sierpnia 1900 (włącznie przypadków śmierci i inwalidztwa) tylko jeszcze jest 188 w pertraktacyach.

1286

Nie zrozumiał.

— Doktór. A co pijecie?

— Chory. O... ja tam nie grymaszę... co pan konsyliarz łaskaw da — to ja wypiję.